



Fot. J. Mirosław

TAEKWON-DO sztuka walki sztuka życia

str. 8-10

O świniach i ludziach

Anna Bocian

str. 4

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

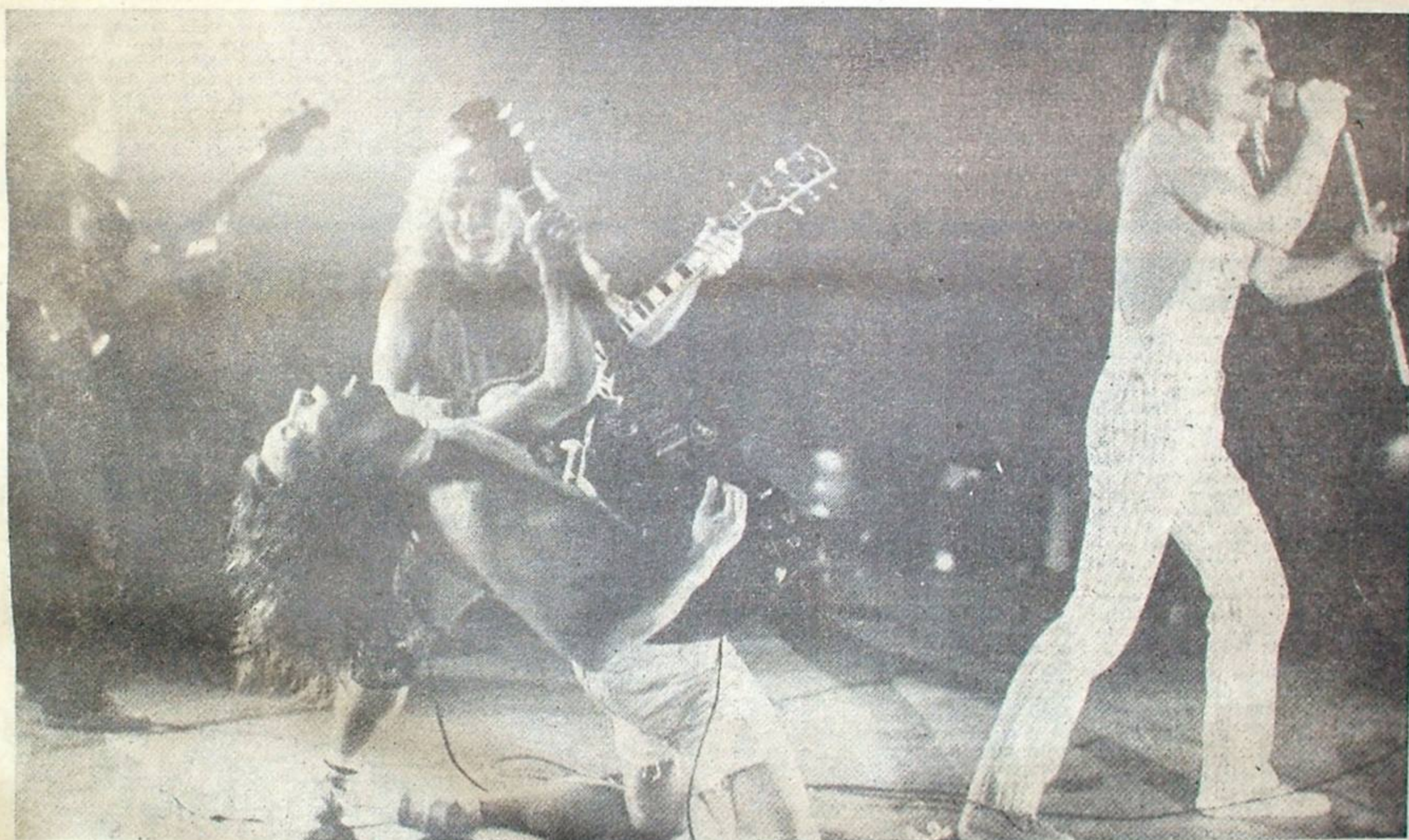
Rok założenia 1933

Kamena

NR 18 (766)

5 - 18 grudnia 1982

CENA 10 ZŁ



TSA — pokładają się na deskach sceny niby w ekstazie — czytaj str. 12.

Fot. Mirosław Stępiak

Coś dla draki przed obiadem

Waldemar Piasecki

W DNIU 3 listopada br. opinia publiczna kraju została zbulwersowana komunikatem PAP podanym w dzienniku telewizyjnym. Wynikało zeń, że w Lublinie organa ścigania prowadzą energiczne śledztwo w związku z wykryciem w okolicy dworca PKP Północ rozkręconych szyn kolejowych. Nie wykluczano działalności sabotażowej.

Dzień później poinformowano o ujęciu sprawców, którymi okazali się wychowankowie lubelskiego Domu Dziecka przy ulicy Klonowicza 1. Dwaj mieli po 13 lat, jeden zaledwie... dzie sięć.

Reportaż ten jest próbą rekonstrukcji wydarzeń z obu wymienionych dat.

...

Janusz Bućko, dyrektor Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Lublinie, będzie pamiętał 3 listopada długo. Może nawet bardzo długo. Na krótko przed 15.30 podniósł słuchawkę telefonu i usłyszał początek meldunku dyżurnego: „W okolicy Dworca Północnego, na odcinku obwodnicy, pod wiaduktem rozkręcono tory...”

Dokończenie na str. 8—9

z notatnika

21.XI. Na tej dacie zaczęło się i skończył mój notatnik. Lecę do Bonn i Monachium na koszt — jak by to kogoś interesowało — wysokiej strony zapraszającej. Bilet tam i z powrotem, tudzież zielony paszport z orłem dzierżą już w kieszeni; co zobacze, skrzętnie opiszę, a myślę, że tematów nie zabraknie. Nas, Polaków, szczególnie interesuje to, co się dzieje w Republice Federalnej Niemiec, zwłaszcza teraz, gdy nad Renem nastąpiła zmiana warty. Po wojnie (a ściślej — po powstaniu RFN) stosunki między naszymi krajami układały się różnie, więcej było nocy niż dnia, ale — chcąc nie chcąc — jesteśmy w jakimś sensie wzajemnie na siebie skazani i należy szukać przede wszystkim tego, co łączy, a nie tego, co dzieli. Sytuacja w centrum Europy rzutuje na całokształt stosunków międzynarodowych. Zainstalowanie na terytorium RFN rakiet amerykańskich średniego zasięgu z głowicami nuklearnymi miałoby bardzo negatywny wpływ na te stosunki. Już bez tych głowic żyjemy na jednej wielkiej beczce prochu. Bredzenie niektórych polityków amerykańskich o możliwości prowadzenia ograniczonej wojny w Europie tak samo musi niepokoić Polaków, jak i Niemców żyjących w obu państwach niemieckich. Ale nie tylko ich. Ograniczone wojny można prowadzić na peryferiach świata i to pod warunkiem, że nie zaangażują się w nie wielkie mocarstwa...

Ale dość na ten temat. Powrócę jeszcze do niego przy najbliższej sposobności.

Dwa dni byłem ostatnio w Warszawie. Spotkałem tam Bodka Ch., przyjaciela z mych lat szcześcińskich. Poglądy na współczesność mamy identyczne, aczkolwiek on, pracując w radiu i telewizji, wypowiada je na co dzień z wrodzonym mu sarkazmem. Jego walka z ekstremą jedynuje mu zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Ci ostatni wypisują w miejscu jego zamieszkania hasła w rodzaju: „B. (tu nazwisko) komuna i szuja”, kampania propagandowa toczy się również w windzie. Dozorczynie umniejszała hasło o słowo „szuja”, najwyraźniej uważając, że słowo „komuna” można tylko traktować jako komplement.

Śmieszłoby to wszystko, gdyby w sumie nie było takie smutne.

„Szpilki” zamieściły felieton Klaksona (skąd znany ten styl?) pt. „Totalitaryzm”. „Cwierć wieku temu — stwierdza autor — i wcześniej życie intelektualno-artystyczne polskiej stolicy w dzień

skupiało się w dwóch-trzech kawiarniach, a od wieczora do rana w knajpie nocnej. Wpiero była to „Kameralna”, potem „Bristol”. Ludzie rozmaitej orientacji politycznej z różnych koterii pili ze sobą i kłócili się. Bywało, że nawet nakładli sobie po buzi, wykidajło powyrzucał ich na chodnik, ale nazajutrz stawali przed sobą pół litra i dogadywali się jak pijak z pijakiem. [...] Obecnie spośród tzw. elity w kawiarniach siedzą wyłącznie emeryci i literaci, a w knajpach pijacy [...]. Życie umysłowe i polityczne pozamykało się w domach. Nie przypomina jednak ono dziewiętnastowiecznych salonów literackich i politycznych Warszawy. Domy owe nie są bowiem otwarte, nie doбира się gości wedle zasady różnorodności. Odwrotnie — swojacy tokują między sobą. Jedyny dziś otwarty salon prowadzi w Warszawie Japończyk za pieniądze cesarza Hirohito. Zamykanie się ludzi w swych komórkach atomizuje życie intelektualne i niweczy przyływ myśli. Elita umysłowa kretynieje, będąc odcięta od szerszych kontaktów. [...] Orężem walki politycznej jest ostracyzm towarzyski. Nie wypada bywać w salonie, gdzie pojawia się Żukrowski. Osoby zadające się z osobami chorymi politycznie same stają się trędowate. W ten sposób „kolaboracja” przestaje być wyborem rozumowym, lecz wymaga heroizmu, bo pozrywania dotychczasowych więzi. Po Warszawie biega pełno ludzi powiadających, że politycznie oni są za rządem, ale nie mogą dać temu wyrazu, gdyż będą zaraz wykończeni towarzysko, rodzinnie i zawodowo...

Nie będę cytował dalej, bo może Klakson jest w ZAIKS-ie i każą nam płacić za wykorzystane w tym tekście fragmenty, co się już kiedyś zdarzyło w wypadku któregoś z poetów, prawie klasyka. Ze swej strony nie po raz pierwszy żałuję, iż nie mieszkam w Warszawie, bo tam różnego rodzaju kłótnie tak weszły ludziom w krew, że bez nich żyć nie sposób. Rozumieć jeszcze, kiedy opozycja (czy tzw. opzycja) w miarę kulturalnie, albo zwyczajnie, po chamsku, przeciwstawia się swym ideologicznym adwersarzom. Wódka jest dzisiaj dla wielu luksusem, a kiedy żyje się z gołej gaży teatralnej i nie ma się zbyt wielu boków trudno się dogadywać jak pijak z pijakiem. Zresztą młodzież dzisiejsza ma na ogół głowy słabe, alkohol też nie ten, a na zdobycie bimbru potrzeba chodów. Zastanawiam się jednak, dlaczego tak często żrą się między sobą ludzie, którzy — wydawałoby się — myślą podobnie i stoją po jednej stronie barykady? „Przegląd Tygodniowy”, „Tu i teraz”, „Polityka”, że o „Barwach” Gaworskiego

już nie wspomnę, tudzież o „Rzeczywistości” i „Polityka” pisze na przykład, że niejaki REP z „Przeglądu Tygodniowego” dzielnikiem nie jest, ale można by zapytać, czy zawsze dzielnikiem zachowują się niektórzy publicyści i felietoniści tego pisma? Każdy ma swoje sympatie i antypatie, bardzo osobiste zresztą, ale czy to istotnie sprawa tak ważna, by nią zaprzętać uwagę milionów? W Lublinie Franciszek ze „Sztandaru” i Andrzej z „Kuriera” też posprzeczczał się o duperele, powołując się na autorytety. Przed laty wspólnie gawędzili przy wniku (?), a jeśli się nawet posprzeczczałi, była to tylko ich sprawa prywatna. Spór na łamach przestaje jednak być sprawą prywatną, a staje się publiczną. Osobiście z dwojga złego wolę już krzyżówki, choć mi się zdaje, że całe nasze życie jest jedną wielką krzyżówką, która zawsze się rozwiązuje, raz prędzej, a raz później, w sposób identyczny.

Kiedy już mowa o Lublinie, zastanawiam się, gdzie teraz kwitnie tu życie intelektualne? Kiedyś koncentrowało się ono w „Norze”, ale to było tak dawno, że można zapomnieć. Jeśli zaś chodzi o bojkot towarzyski, to ja go nie dostrzegam. Jakoś tak się zwykle układało, że moi dobrzy znajomi i mini-przyjaciele, których gościłem, lub którzy mnie gościli, podzielali moje poglądy polityczne, nasze drogi się więc nie rozeszły. W gruncie rzeczy jestem człowiekiem dobrotliwym, wiele potrafię wybaczyć, a jeśli poeta X telefonuje i donosi, że nie życzy sobie, by jego wiersze, złożone w redakcji przed 13 grudnia i zakwalifikowane do druku, znalazły się teraz na łamach „Kamery”, uśmiecham się, bo wiem, że z tego powodu dziury w niebie nie będzie, a szanowni Czytelnicy i tak wolą Gałczyńskiego czy Cugowa. Tego ostatniego tym bardziej, że ciągle jest z krwią i kości, choć — jak ktoś powiedział — rączki mógłby mieć delikatniejsze. Ale natura nie wybiera. Jednemu da drugiemu zabierze. Talent również.

Wiem także, iż żaden bojkot trwać wiecznie nie może, a do tego wniosku dochodzi również powoli i osoba piastująca nieco większe stanowisko od mojego, ale w kraju kapitalistycznym, więc zazdrościć nie mam czego. Osobiście nikogo i niczego nie bojkotuję, a jeśli, mimo zaproszeń, na niektóre imprezy nie chodzę, to tylko dlatego, że mam możliwość wyboru. Rok temu w czasie burzy i naporu na lubelskich „Prezentacjach” manifestacyjnie opuściłem scenę w czasie występów niejakiego Zwoźniaka i od tego czasu dyrektor Kryński z „Estrady” skreślił mnie z rejestru darmowatych! Niech mu tam! Dalsze zubożenie intelektualne to tylko moja strata. Odbiję sobie na striptisie w Monachium. Mam nadzieję, że przy piwie, o którego smaku dyrektorowi w wolnej chwili opowiem.

Dobranoc. Już 22 XI. Proszę więc wprowadzić odpowiednią poprawkę w pierwszym zdaniu niniejszego tekstu!

M. A. Jaworski

KRONIKA

● Lubelska Spółdzielnia Mieszkanicowa liczy 25 lat i ponad 38 tys. mieszkańców. Wielokrotnie — może setki razy — przedstawiano ją w prasie polskiej, w telewizji i w kronikach filmowych, tytułując „Słonecznym Wzgórzem”, co miało sens prosty i metaforyczny, bo faktycznie ludziom żyło się tam chyba lepiej, pogodniej, niż w innych dzielnicach Lublina. Dbano tam bowiem konsekwentnie o wytworzenie czegoś zbliżonego do harmonii społecznej, co było nawet możliwe w warunkach pierwszych, stosunkowo niewielkich osiedli. Ale później LSM zaczęła pęcznieć, pnąć się w górę, no i teraz jest to takie bardziej zwyczajne miasteczko, do którego mamy przecież pewną słabość...

● Bożonarodzeniowe choinki będą w tym roku znacznie droższe, ale nie zabraknie ich w handlu. Tymczasem w ścisłym rezerwacie Czerkies, położonym w obrębie Roztoczańskiego Parku Narodowego, pożar strawił 10 ha tak wspaniałych drzew, jak buk i jodły. Liczące do 180 lat. W pobliżu rezerwatu znajdują się pola wsi O-brocz.

● Salon Sztuki WPHW i PSP cieszy się znacznym powodzeniem lublinian, obroty idą w miliony złotych. Na święta sklep — trafalejsza to nazwa — oferuje plastyczne wyroby zakopiańskie, suknie karnawałowe (na później, naturalnie), srebrną biżuterię, oblicząc ponadto ceramikę dołnośląską. A na wystawie: „Cztery kazania sejmowe” Piotra Skargi uginają się pod ciężarem pulchnej naguski, spoglądającej na świat z planszy kolorowego, wielkiego kalendarza...

● W najbliższych tygodniach pierwsza kopalnia LZW, w Bogdanie, da pierwszy węgiel w ramach eksploatacji przemysłowej (ok. 800 ton na dobę). Zupełnie dobrze rozwijają się so-

boty na budowie kopalni drugiej, w Stefanowie. Tymczasem jednak skały płonne, wydobywane z wnętrza ziemi w trakcie prac górniczo-budowlanych, rosną w wysokie hałdy, formujące smutny pejzaż. Jeśli zaś chodzi o ropę naftową w pobliżu Świdnika, to — jak wiadomo — jest wydobywana: w ilościach proporcjonalnych do skromnych rezerw zasobów złoża. Ale dobre! to.

● W zamojskim BWA znów ciekawie i ambitnie: szkice i obrazy z cyklu „Pomnik” prezentuje Mieczysław Wejman, artysta wybitny, kiedyś krakowski, dziś warszawski. Pamiętacie państwo jego zdumiewający oryginalnością interpretacji cyklu graficzny „Rowerzysta”, prezentowany przed laty w lubelskim BWA?

● Nowa forma wymiany przygranicznej: za jabłka, kompoty i szampony do włosów (o łącznej wartości 19 mln. zł) nasze przedsiębiorcze WPHW otrzyma z radzieckiego Brzeźcia 40 tys. naczyń kuchennych, 4 tys. rowerów, turystyczne aparaty radiowe i kilka tysięcy zegarków. Obie strony są kontente, więc już rozmawiają o przyszłorocznej wymianie towarowej, co popieramy bezpolitycznie.

● Uczni z Białej Podlaskiej nie kochają Lublina — ich sprawa — ale faktem pozostaje, że absolwenci Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, wyspecjalizowani w plastyce, wspomagają personalnie tamtejsze środowisko artystyczne, no i wszystko wskazuje na to, że razem z „autochtonami”: Falkiewiczem i Mikołajczukiem, malarzami zresztą, utworzą wkrótce coś poważniejszego, niż krąg towarzyski — o czym świadczy m.in. niedawny plener w Białej. Gdyby tak jeszcze ZPAP zechciał dojrzeć oczywiste wartości malarstwa pewnej młodej pani, malującej w mieście Radziwiłłów, w Danii etc...

● Mroźkowi nie podoba się sytuacja w Polsce, ale Polakom podobają się sztuki Mroźka. Oto na małej scenie Teatru im. Osterwy w LDK pojawił się „Ambasador” (Piotr Wysocki w roli tytułowej) tegoż autora, w reżyserii Marka Z. Nowakowskiego. Recenzja będzie.

Sytuacja rynkowa

JEST taka sprawa, że na wzięcej kiełbasy etc. w najbliższej trzylatce nie ma co liczyć, podobnie z odzieżą i butami. Można liczyć na wzięcej artykułów miedzarskich, owoców i warzyw oraz na odpuszczenie reglamentacji maki, margaryny, mydła, proszków do prania, wódki do picia i papierosów do palenia.

A co z wątpliwościami? Gdzie są wątpliwość? One są w telewizji i trzeba się zastanowić nad wprowadzeniem surowego reglamentu lub całkowitej prohibicji takich szkodliwych produktów szepańszczyzny jak film telewizyjny pt. „Jan Serce”, w którym ludzie — rzec można — sto-

sunkują się, piją wódkę i palą papierosy, co wywiera zgubny wpływ na młodzież. Idąc dalej, należy zakazać filmów, w których ludzie przed snem nie myją zębów, a po śniadaniu dłużej w zębach, co także jest naganne i może kosztować wizytę u dentysty-sadysty.

Jeżeli młodzież bawi się w „tańcz, głupia, tańcz” — niewykluźnione, że ma to związek z demoralizującym oddziaływaniem filmu pt. „Jan Serce”, aczkolwiek — z drugiej strony — jest to film na czasie, skoro ma być więcej wódki i papierosów, a może nawet ser(c)a.

Pdg



Rys. J. Tarłowski

Śladami Agnieszki Niechcicówny

Mirosław Derecki

JAK to się wszystko zaczęło? Owe spotkanie, ta miłość dziewczyny z podkalinieckiego dworku, Agnieszki Niechcicówny, i bojowca PPS, Marcina Sniadowskiego, a właściwie — Marii Szumskiej, późniejszej autorki „Nocy i dni”, oraz Mariana Dąbrowskiego...

„Agnieszka jechała do Lozanny przez Berlin, Frankfurt nad Menem, Bazyleję i Neuchâtel. [...] W Lozannie, zostawiwszy rzeczy na stacji, poszła szukać mieszkania Naty Szumskiej [...]. Szeroka, słoneczna ulica wspaniała się nieco pod górę, mając po jednej stronie oślepiająco białe domy, po drugiej — widok na jezioro i góry. Leman skrzył się, poznaczony w różnych kierunkach granatowymi i fioletowymi smugami. Nad mglistym płowzielonym stokiem przeciwnielego brzegu, w nieco dalszym planie, piętrzyły się granatowe opoki poprzedzielane czarnymi smugami cieniów i polyskujące gdzieś tam jasnozieloną plamą. I wreszcie, i na koniec — śniegi na szczytach. Ujrawszy to Agnieszka doznała wrażenia, że teraz dopiero wszystko jest całkiem w porządku”.

Ta nie nazwana przez Dąbrowską ulicą, na której stawiła pierwsze kroki po przyjeździe do Lozanny osiemnastoletnia Agnieszka Niechcicówna, to ruchliwa dzisiaj, wypełniona szumem tysięcy samochodów, Avenue Louis Ruchonnet. Zaczyna się przy dworcowym Place de la Gare i biegnie przez miasto ku zachodowi, w stronę Genewy. Wychodzi na nią porte-fenêtre mojego pokoju w Hotel de Lausanne, pamiętającego dobrze czasy, gdy młodzieńca Maria Szumska przybyła tutaj, do stolicy kantonu Vaud, aby studiować nauki przyrodnicze. Przechodziła niejednokrotnie pod murami tego hotelu w drodze do koleżanki z uniwersytetu, która mieszkała na pobliskiej Chemin de Villard.

Agnieszka mieszkała w wynajętym pokoiku przy Rue St. Roch. Cicha uliczka, znajdująca się w wyższej części Lozanny, w obrębie dawnego starego miasta, w pobliżu Uniwersytetu. Aby do niej dojść, trzeba skręcić z Avenue Louis Ruchonnet w prawo, wspiąć się stromo biegnącym chodnikiem pod górę i przejść malowniczy Pont Chauderon, zawieszony nad głębokim parowem przecinającym Lozannę ze wschodu na zachód. To na tym właśnie moście wzdychali niejedną raz Agnieszka i Marcin. Ale to było później. Tymczasem...

„Wejście do upatrzonego mieszkania było nieco ciemne, ale oba okna pokoju wychodziły na góry i jezioro. Agnieszka bez namysłu umówiła się, zapłaciła, a potem przywozła z dworca rzeczy i urządziła się jako tako w nowej siedzibie. [...] Wieczorem, już sama u siebie, stała chwilę przy oknie. Księżyc nie było widać, musiał jednakże świecić, gdyż granat gór owiany był srebrnym kurzem, a jedna strona jeziora z lekka pobłyskiwała. U podnóża gór, w niezmiernie dali za jeziorem migotał rój światełek francuskiego miasteczka Evian [...]. Światłość tego widoku i myśl, że życie z taką łatwością przeniosło ją w tak odległe, niezwykle strony, przejęły Agnieszkę dumną radością.

— Jestem odważna i młoda — myślała. — Co mi się oprze?”

Wyjeżdżając w 1907 r. na studia do dalekiej Szwajcarii, musiała Maria Szumska wykazać nie lada odwagę, ale także chyba i upór, aby przeprowadzić swoją wolę wobec rodziców. Jakże odległa, pod każdym względem, była Lozanna od podkalinieckiego, osiemsethektarowego Russowa, gdzie państwo Józef Szumski i jego żona Ludomira z Galczyńskich siedzieli od lat „na dzierzawie”. Z Russowa—Serbinowa można było wysłać córkę do szkoły do oddalonego o jedenaste kilometry Kallisa, można było ją nawet ostatecznie oddać na pensję prowadzoną w Warszawie przez panią Paulinę Hewelke, ale zaraz potem: Szwajcaria, wyższe studia, danie całkowitej samodzielności młodej panience? To już była rewolucja!

Trzeba jednakże pamiętać, że najstarsza córka Bogumiła i Barbary (to znaczy Józefa i Ludomiry Szumskich) nie była przeciętną osobą, a i nauki w warszawskiej pensji pobierała u nie byle jakich profesorów, co nie pozostało bez wpływu. W szkole Pauliny Hewelke historię literatury wykładał Ignacy Chrzanowski, geologię uczył Stanisław Karłowicz, fizyki Tadeusz Miłobędzki, biologii Kazimierz Czerwiński. Największe wrażenie sprawiły jednak na Marii Szumskiej wykłady znanego socjologa, profesora Ludwika Krzywickiego. Po latach Dąbrowska miała wspominać w „Warszawie mojej młodości”: „Wykładał nam ekonomię polityczną i socjologię, a właściwie wykładał nam marksizm. Strasznie lubiłam te lekcje, wywarły one decydujący wpływ na mój rozwój duchowy i zapamiętałam je najlepiej ze wszystkiego, czego nas od strony humanistyki uczono w szkole”.

Od pewnego czasu wśród młodzieży szkolnej wiały nowe prądy, a wypadki rewolucji 1905—1907 r. i strajki szkolne w Kongresówce przyspieszyły jeszcze pod młodzieży do wiedzy, do szukania prawdy o świecie i ludziach nie tylko na własnym podwórku. Dochodził do tego bojkot rosyjskich uniwersytetów. Zaczęły się wyjazdy za granicę. Wielka grupa osób kierowała się do Szwajcarii. Trzeba pamiętać, że Szwajcaria była jednym z tych krajów, gdzie grupowali się działacze socjalistyczni, także polscy. To wszystko, plus jeszcze rozwinięta pomoc stypendialna, czyniły dla młodych ludzi ten kraj wyjątkowo atrakcyjnym.

Młodzi Polacy studiowali na uczelniach Genewy, Zurychu, Lozanny, Berna, Fryburga, Bazylei. Najwięcej było ich w Genewie. W ciągu ostatniego dwudziestolecia ubiegłego wieku i w pierwszych osiemnastu latach wieku XX, przewinęło się przez uczelnie Genewy 1200 polskich studentów. W tym samym czasie na Politechnice w Zurychu studiowało 400 osób z Polski, a na zurychskim Uniwersytecie — tysiąc polskich studentów. M. in., w 1897 r. doktorat na Uniwersytecie w Zurychu uzyskał Marchlewski. Absolwentem Politechniki zurychskiej był późniejszy pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej — Gabriel Narutowicz. Katolicki Uniwersytet we Fryburgu był wręcz opiewany przez Polaków. Przez pewien czas funkcję rektora sprawował tu prof. Józef Wierusz Kowalski, chemię wykładał Tadeusz Estreicher, ekonomię polityczną — Antoni Kostanecki, prawo rzymskie i szwajcarskie prawo prywatne — Ignacy Koschembar-Łyskowski. Katedrą języków i literatur słowiańskich kierował najpierw Józef Kallenbach, po nim na wiele lat przejął ją Stanisław Dobrzycki. Jednym z asystentów na Uniwersytecie we Fryburgu był Ignacy Mościcki, później — ostatni prezydent II Rzeczypospolitej.

W Lozannie było Polaków-studentów nieco mniej. Ale też sporo, skoro od końca ubiegłego wieku do r. 1918 przewinęło się przez tutejszy uniwersytet 620 chłopców i dziewcząt z Polski. Wśród nich — Maria Szumska, późniejsza Maria Dąbrowska. Do Lozanny ciągnęło młodzież nie tylko piękne położenie miasta i wspaniały klimat, ale także fakt że właśnie tutaj, jak i w niedalekiej Genewie, krzewiło się — zwłaszcza w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową — bujne życie polityczne: działały liczne polskie organizacje niepodległościowe, społeczne, kulturalne i charytatywne. Nie bez znaczenia był też fakt, że Lozanna miała stare, piękne tradycje uniwersyteckie, tuż obok Akademii została założona w 1537 r. Między innymi w jej murach wykładał Adam Mickiewicz. Tak jak i w innych polskich skupiskach za granicą, działało w Lozannie koło Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą. „Zjednoczenie” wstrząsane było walkami toczonymi między młodzieżą narodową i socjalistyczną. W łonie tej ostatniej dochodziło do starć pomiędzy zwolennikami SDKPiL, pepesowskiej Lewicy oraz PPS Frakcji.

Odbiciem owych nastrojów i gorących sporów wśród polskiej młodzieży jest słynna scena wielkiej dyskusji zawarta w IV tomie „Nocy i dni”. Wtedy właśnie, w sali restauracji Sztoka — miejscu spotkań studenckich — przy Rue d'Industrie, Agnieszka Niechcicówna patrzy roziskrzonym wzrokiem na wodzącego rej wśród dyskutantów Marcina Sniadowskiego. Poznali się niedawno na Rue Neuve, łączącej uliczki biegnące od Rue St. Roch, z Place de la Riponne — gdzie mieścił się Uniwersytet.

To właśnie Marcin Sniadowski miał nauczyć Agnieszkę politycznego myślenia, wciągnąć ją wkrótce do szeregów „Filaracji”. Tutaj też, w ciągu dwuletniego pobytu Agnieszki Niechcicówny w Lozannie, miała rozkwitnąć ich miłość...

W rzeczywistości było trochę inaczej. Maria Szumska studiowała w Lozannie tylko jeden rok. Po wakacjach przeniosła się do Belgii, gdzie podjęła dalsze studia na Université Libre w Brukseli. Uczęszczała także na wykłady w Université Nouvelle z zakresu nauk społecznych i filozofii. W Brukseli zetknęła się z ideami i filozofią Edwarda Abramowskiego i pod jego wpływem na długie lata poświęciła się sprawom i problemom spółdzielczości.

Właśnie w Brukseli spotkała Szumska Mariana Dąbrowskiego. Poznała go kilka lat wcześniej, jako uczennicę V klasy gimnazjum w Kalliszu, w domu wujostwa Galczyńskich. Przybył do Kallisza jako działacz PPS, opromieniony sławą rewolucjonisty i bojowca. Refleksją tamtego spotkania jest w „Nocach i dniach” pobyt Marcina w Kalliszu, jego dyskusje w domu Danielostwa Ostrzeńskich i u rejenta Holszańskich. W powieści do spotkania Agnieszki i Marcina jednak wówczas nie dochodzi.

W wydanej niedawno „Rzeczy russowskiej” Tadeusz Drewnowski pisze: „Belgia była w owym czasie [gdy przybyła tam Maria Szumska — red.] największym skupiskiem polskiej, a raczej w ogóle słowiańskiej studenterii na zachodzie. [...] Ale głównym uniwersytetem dla tej młodzieży była wolna Belgia — jej życie, kultura, sztuka”. Nie należy się więc dziwić ani Agnieszce, ani Marii, że opuściły piękną Lozannę z jej trochę sennym polskim środowiskiem studenckim. Najprawdopodobniej więc także dyskusja polityczna, odbywająca się w „Nocach i dniach” u Sztoka przy Rue d'Industrie, miała miejsce u jakiegoś innego Sztoka w Brukseli, w pobliżu gmachu Université Libre. Tam też właśnie, w Brukseli, Marian Dąbrowski wraz z kilkoma innymi osobami założył „filaracką” organizację, grupującą młodzież związaną z ruchem niepodległościowym. Nadano jej nazwę: Stowarzyszenie Polskie im. J. Lelewela. Na początku „lelewelczyków” było jedenaścioro: Marian Dąbrowski, Maria Szumska, Medard Downarowicz, Julian Kaden-Bandrowski, jego żona, Juliusz i Zofia Poniatowscy, Erazm i Nela Samotyhowie, Roman Ślaski i Henryk Piekarski. Nazwiska te miały się w przyszłości często przewijać przez życie II Rzeczypospolitej. Tymczasem jednak kończyli studia, regulowali swoje sprawy osobiste. Na początku lata 1911 r. Maria Szumska otrzymała dyplom „kandydata” nauk przyrodniczych, 26 lipca 1911 r. odbył się w Brukseli ślub Marii Szumskiej i Mariana Dąbrowskiego. Nieco wcześniej, w roku 1910, w „Gazecie Kaliskiej” zaczęły się ukazywać drobne artykuły i korespondencje z Belgii podpisane: Maria Szumska.

Wróćmy jednak do Lozanny. Śladami Agnieszki Niechcicówny dotarłem na Place de la Riponne. Całą jego wschodnią stronę zajmuje ogromny gmach Uniwersytetu. Dzisiaj jest to uniwersytet — muzeum, bo właściwa uczelnia, ta najnowsza, mieści się — wraz z miasteczkiem studenckim — w Dorigny. Lecz za czasów, gdy przez plac przebiegała Agnieszka-Maria, gmach uniwersytetu był symbolem nowoczesności i pedagogicznego luksusu. Wzniesiono go w roku 1888 i przy budowie zastosowano ostatnie zdobycze techniki.

Miał to być w pełnym znaczeniu tego słowa pałac wiedzy i nauki. Gmach emanujący powagą i dostojnością. Toteż na wielkich spiszonych tablicach, wmurowanych przez Radę Miejską po obu stronach wejścia do owej świątyni Nauki, umieszczono podniosłe zdania na temat Patriotyzmu, Sztuki i Nauki. Dzisiaj, po niespełna stu latach, ręka jakiegoś współczesnego studenckiego kontestatora namazała poniżej na murze wielkimi literami: „SHIT” — gównem. Kto inny napisał obok po francusku: „Rozkwasić burżujów”. „I nie tylko ich” — dodał ktoś następny.

Otwieram wielkie, masywne wierzaje wiodące do gmachu. Jakby się przede mną rozwarło wnętrze jakiegoś Najwyższego Przybytku. Po pięćdziesięciu marmurowych schodach wstępuję wyżej i wyżej, w nieskończoną — wydawałoby się — perspektywę, wznoszącą się ku górze. Tam, gdzie się kończą pierwsze schody, zaczyna się wewnętrzny „dziedziniec” obramowany kilkoma kondygnacjami krużganków, z wejściami do płatany korytarzy i dawnych sal wykładowych. Gdzieś bardzo wysoko nad głową jaśnieje prostokąt szklanego dachu z przebijającym przezeń błękitem alpejskiego nieba. Naokoło, we wnękach ściennych — popiersia dawnych profesorów i rektorów Uniwersytetu. Która spośród tych rzeźb przedstawia autora „Księgi Narodu i Piełgrzymstwa Polskiego”? Wokół piaskowce, marmury, złoceń, brązy... Jak się pośród nich czuła osiemnastoletnia prowincjuszka z przyśladego gdzieś w Kongresówce dworku, młoda racjonalistka przybyła tutaj na podbój „nowego świata” i snująca romantyczne marzenia o Niepodległej?

Spoglądam na starą fotografię: Lozanna, rok 1908. Wiosna. Na barierce jakiegoś mostku siedzi Maria Szumska. Uśmiecha się. Ma na sobie długą do ziemi, ciemną, trochę „pensjonarską” suknię-fartuch. Ramiona — ujęte w buflaste rękawy białej bluzki. Na głowie „burza włosów”. Taka sama jak w Agnieszki z „Nocy i dni”. Dziewczyna wydaje się trochę tęgawa, przepełniona witalnością i zdrowiem, i zupełnie nie podobna do tej późniejszej drobnej i szupłej, poważnej kobiety ostrzyżonej „z grzywką” à la Coco Chanel...

Za świńskim ogonem

Anna Bocian

LADNA ta jesień — powiedział już w chlewie pan Zbysiu i puścił obłoczek oddechu. Podciągnął łok w strzykawce, a potem kocim krokiem galanta podszedł największą świnię. Błysnął gołymi łądzkami, sięgnął do butelki z lekarstwem, którą trzymał w kieszeni. Koło nóg kłapało mu uszami poruszone towarzysztwo.

— Zadepeją chorego, panowie — zwrócił się do widowni na progu. — Za uszy go i za bort go!

Prosiak kłapał w nasiąkniętą gnojówką słomę. Oczy miał opuchnięte, dyszał ryjem zwróconym ku wieczności.

— Siny, a rano jeszcze chwiał się na nogach — przechyliła się przez framugę drzwi gospodyni. — Najlepszy do jedzenia...

— To tak zawsze — mruknął pan Zbysiu i złożył się jak do kujawiaka. Nie pocelował. Brudne zady grzmotnęły o zagrodę. Pan Zbysiu bez pośpiechu wypatrzył następnego według wielkości. Do dogorywającego prosiaka podkradł się pies i wpełznął mu nos w różowe, żyłkowane ucho z numerkiem w środku.

— Ty durniu — skarcił psa sąsiad gospodarza.

— Zastryk i psu! Uspić najlepiej — poradziła gospodyni.

— Na zimę!

— Niech się nie męczy na tym bożym świecie.

— Przed Zaduszkami jednego uspiłem — pochwalił się sąsiad. — A drugiego zabiłem.

— Jak? — zainteresował się weterynarz.

— W łeb dalem, jak nikogo nie było.

Pan Zbysiu znowu nabrał lekarstwa w strzykawkę, a gospodyni roześmiała się do dziecka na ręce.

— Jak będziesz niegrzeczny, to i ciebie uspię. Albo chociaż zastryk mu? — zwróciła się do doktora, oczekując aprobaty.

— A Smolak na dółach, co zrobił. Jak sołtys wykazał, że ma psa do szczepienia? Też kropnął swojego — ciągnął sąsiad.

— Tylko i jemu kropnęli, kolegium — doktor Zbysiu roześmiał się z zagrody.

— Jak głupi oświadczenie napisał, że psa nie ma, bo osobiście zaprowadził nad rzekę i z kamieniem spuścił — zawtórował mu sąsiad.

— A myśmy takiego ślicznego kotka nie zarzegli? Aż krew przyskała po komorze, bo się wyrwał i poderżnięty latał — przypomniawszy sobie gospodyni.

— Ale po co? — objętnie zapytał doktor.

— Na kołnierzyk. Tylko babka włożyła w mydliny i skórę zmarowała.

— No to po robocie — powiedział doktor i wylazł z zagrody. Ze strzykawką pochylał się jeszcze nad wyciągniętym ledwozikiem.

— Obrzękówka smutna sprawa. Masz i ty zastryk, a potem rób co chcesz.

— Nic z niego nie będzie — oceniła gospodyni i wszyscy wyszli-my na podwórko, gdzie zawiązała zimnem, aż żal się zrobiło parującego ciepłem gnoju. Doktor mył ręce, znowu polyskując gołymi łądzkami.

Niestarannie podwieszona niebo lada chwila mogła pęknąć deszczem. Tymczasem spoza szarych tobołów wyomykało się jeszcze słońce i trafiało prosto w kury skulone pod obok.

— A jesień rzeczywiście była piękna — doktor usadowił się w małym fiacie i zatarł ręce. — Pięćset sześćdziesiąt złotych szarpnąłem z Dereniów. Lekarstwa podrożwały czterokrotnie, a poza tym musimy być samowystarczalni. Gdyby nie te lasy i nie to Podlasie... Sentymentalny chłopak jestem. A gle-

ba tu cieniutka jak szmatka. Tylko świnię hodować. Jak gospodarz doladuje białka, którego nadmiar przekształca się w histaminę, a histamina spowoduje obrzęk jelit — to ma to, co u Derenia ledwie kwiknie. Zdechły się nazywa. Ale znowu świnię trzyma się po to, żeby szybko utuczyć. Tylko za szybko nie wychodzi. Tam w polach, pan! patrzy, las granatowy. Człowiek by się tak wyrwał w tę urodę życia, a tu gównem na bucie. — Poprawił gumiak na pedale gazu.

— Chłop, jak widać, patrzy na śmierć i życie ekonomicznie — jakby sobie przypomniawszy. — Szczepienie psa kosztuje, więc wydatek oddał. O prosiaka bardziej zadba. Zatrucie pokarmowe kładzie sztukę w parę godzin. Bogatszy zaraz do nas leci. Biedniejszy najpierw wypyta sąsiadów, a potem jest za późno. Kiedyś to chłopci tak się przed nami bronili, że tylko w ostateczności wołali. Jak były szczepienia ochronne krów przeciw gruźlicy, albo brucelozie, chowali bydło po kątach. Jeden, pamiętam, krowę za oborę wyprowadził i z pośpiechu nie przywiązał, i potem z gnojówki po szyję wyciągał. Mówię, panie Franiu, nurkuj pan teraz pod brzuchem krowy z pasem w zębach, a on pokazuje dwa krzywusy w szczęce i mówi: chłopcy, wódkę stawiam. Na pół wsi śmierdziały ratownikom portki i przez tydzień wietrzyły się na płotach.

Samochód pyrkotał po podlaskim piaszczystym pasiaku, ubożuchnym jak zapaski w muzeum regionalnym.

— Życie jest okrutne, tylko z miasta mało co widać — opowiadał dalej pan Zbysiu, ostrożnie biorąc wadoły pod kota. — U nas widać wszystko. Na sąsiedniej wiosce chłopak teściową zarał. Ile człowiek potrafi, sam jeden pan Bóg się nie nadziwi. A zarabiał bo mu faktycznie dokuczała. W mieście by oddał do domu starców, albo by wpełznął do szpitala, żeby z oczu... My, jak jakieś zabiegi robimy na zwierzętach — ciągnął trochę nie a propos — czasem całe operacje na słomie w stodole, to dzieci się odgania. Ale i tak twardość i znieczulenie wchodzi im w krew. W domu bije się świnię, sporo widzą.

Spadł deszcz na brudną przednią szybę, wycieraczki rozmaszały, co mogły. Pan Zbysiu zachwycony rozłożył ręce.

— Cały ja! Nie umyło się w porę. A potem w porę nie dostanie się nowego i przyjdzie rowerkiem zapychać. Dopiero od dziesięciu lat mamy lecznicę z ciepłą wodą i poskrom pod dachem. — Uderzył dłońmi w kierownicę. — Dobrze, że młody byłem, kiedy mi woda w domu zamarała. Teraz też jestem młody, tylko jak mnie łupnęły korzonki przy operacji, tak zostałem. No! — zajechaliśmy z fasonem pod chlewik.

— Co, panie Romanie? — wychylił się pan Zbysiu z samochodu. — Witam pana. Zdechłak znowu?

— Ten sam. W różowe lata chodził.

— Szczepionki nie zjadł. Reszta zjadła, a on się biedak do koryta nie dopchał. Zięć śpi?

— Po nocce przyszedł.

— To do roboty. — Doktor zaczął torbę z lekarstwami o słupkę zagrody. Wysła gospodyni, zaciągając na piersiach sweter.

— Na kusak by był — westchnęła.

— I mnie by coś kapło — obejrzał się ku niej doktor, trzymając chorego za ogon.

— Zawsze każdemu dam, aż samej zbraknie.

— Po co starszemu tyle jeść? — pan Zbysiu się zdziwił.

— Ale jak się stary narobi, że mu krzyż trzeszczy, to może być, nie?

— O, to zawsze może być — zgodził się doktor. — Jakby różycy — zawy-

rokował, szukając ampułek z lekarstwami.

Bez większych wzruszeń przepychaliśmy się przez chlewy i obory. Żywe kwiczało i patrzyło bezrozumnie, nieświadome swojej wartości. W owczarniach, im bardziej zarośnięte po potulne nosy, tym lepsze. Każde na swój sposób ważne, od najbardziej opłacalnej części ciała. Każde z numerkiem w uchu, żeby łatwiej selekcjonować te wełniaste, z najwięcej potomstwem, z gwarantowanym mlekiem. A koń na przykład; u konia najważniejsze są nogi. Zajrzeliśmy do najdroższego konia w gminie, za dwieście tysięcy złotych, z zapaleniem stawu. W oczach miał miękki bezmiar pastwisk, w pysku soczyste jabłko. Doktor wbił mu koło szyi igłę do dożylnego zastryku. Siknęła krew. Koń wyłącznie zajmował się żuciem podawanych mu jabłek. I dalej, przez podwórza i kuchnie...

— zaciągnął się wspomnieniem Gula Kazimierz, technik weterynaryjny — któremu Cyganka przepowiedziała, że zginie od pioruna. Bał się burzy jak dziecko. Wszedł raz do stajni do chorego konia, za blisko podszedł go z tyłu i dostał w głowę kopytem. Koń nazywał się Piorun.

— Zmarł?

— Niestety. A znowu co mnie się przytrafiło. Szliśmy z panem Zbysiem kiedyś w burzę, patrzymy, krowa zerwana z łańcucha. Czyja krowa? Krzyżanowskich. Trzeba zapędzić. Ale gdzie tam, głupia ryczy i łe nie chce. Pan Zbysiu mówi: za rogi i podciągniemy. Jakaś się ocknęli po pół godzinie, leżymy, a między nami martwa od pioruna krowa Krzyżanowskich.

— Pan Kazimierz może tak do wieczora — uprzedził lojalnie młodszy po fachu. — Los go jeszcze nie dotknął, ani polityka.



Fot. J. Mirosław

— Warto zajrzeć — szepnął doktor, ciągnąc mnie za sobą. — Z drewna opałowego zrobił facet boazerię...

Dom był wewnątrz szalowany. W przedpokoju z lustrem wtopionym w drewnianą ścianę tykał szafkowy zegar. Z otwartych drzwi łazienki mżył połyskliwy turkus kafelków. Pierwszy dom na wsi, wywracający wątrobę miastowemu powściągliwym dostatkami i prostotą.

— Z głową — szeptał pan Zbysiu. — Parter gospodarczy, piętro do mieszkania. Na ogół wszędzie gnieźdzą się latem z muchami w letnich kuchniach, a w murowańcach przyjmują gości i śpią. Wie facet, po co haruje. W starym domu wyszykował sobie owczarnię. Dobudował oborę, bieloną, z dziennym światłem. A co?

W oborze zapowiadało się cesarskie ciężce. Niektóre osoby dają w takich okolicznościach nogę, chociaż w lecznicy młodszy weterynarz pękał ze śmiechu.

— Cesarskie robi się coraz częściej. Byk był widać mięsnym. W odróżnieniu od ludzi, zwierzę jest strasznie odporne. Już na drugi dzień krowa się nie przejmuje i mleko daje. Raz pewien człowiek przyjechał do nas na wakacje z psem, który miał nowotwór. Na drugi dzień po operacji pies wstał, na trzeci szedł. Wczoraj operowaliśmy trzy prosiaki z przepukliną. To się zdarza, gdy brat pokryje siostrę. Aseptyka oczywiście zachowana, ale bez przesady. A prosiaki po operacji do chlewa.

Bez względu na prawo selekcji naturalnej, którą współczesna medycyna omija bokiem i zapełnia świat ludzkimi ulomkami, wobec zwierząt jest ekonomicznym rygiorem. Wieś kalkuluje, jak zawsze na zimno co cię oplaca, a co mniej.

— Tylko ślepy los rzuca wieś na kolana. Przede mną był taki weterynarz

— A polityka owszem — zaperzył się pan Kazimierz, który po godzinach urzędowania w lecznicy czuł się chłopem. — Jak każdego mnie dotyka. Pewnie swoją jałówkę też na buchtę wysię. Czym na wiosnę wykarmię, jak z paszą bieda? Ludzie na potęgę wywożą nawet maciory. Ja nie mogę powiedzieć: nie sprzedawaj. Ani pan. My możemy tylko powiedzieć, że na wiosnę prosiaki będą drogie. I nie będzie co leczyć... Swinia dwa lata potrzebuje, żeby coś z niej było.

— Jeden znajomy — wtrącił młody lekarz — odstawił trzydzieści sześć tuczników i dwie sztuki bydła, wyrzeźbionego knura ponad czterysta kilogramów wagi i starą maciorę, co nie chciała się lochać. Idzie do gminy, bo potrzebuje eternitu. A tam — jak odstawić zboże... Skąd on im to weźmie? I mięsa daj, i zboża daj, ziemniaki wymarzył.

— Falami wymarzały — uściślił technik weterynaryjny. — Sąsiad wysadził dwadzieścia worków, a zebrał czternaście. A skąd na nasiona?

— Jedno mnie ciekawi, jabłka nie wymarzył — zastanawiał się młody.

— Ludzie jabłka parują, są zatrucia i niestrawności.

— Ale, panie Kazimierzu, metr ziemniaków na skupie wychodzi po tysiąc sześćset złotych. Tylko odstawić.

W drzwiach stanął uszczęśliwiony pan Zbysiu.

— Córceczka!!! Pod tekstyl się chlapano i życie wypiękniło. — Otarli czoło po czym usiadł w papierach.

— Ten co niby na życie narzeka — zauważył technik.

— A jednak zdrowie się kończy — pan Zbysiu zrobił minę wszystkowiedzącego i sięgnął po kalkulator. Za oknem tłukł się w zimnym wietrze berberys. Tylko dobra kondycja ratowała sytuację.

NIEDAWNO napisałem, że tegoroczny polski sezon filmowy upływać będzie pod znakiem adaptacji znanych dzieł literackich, budząc z pewnością wiele dyskusji wokół kwestii, czy słowo zostało w adekwatny sposób przełożone na język obrazu kinowego. I na ile jest dopuszczalna własna wizja artystyczna reżysera, do jakiego stopnia wolno mu dokonywać filmowych zabiegów na autentycznej tkance literackiej. Tymczasem otrzymaliśmy rzecz szczególnie wyraziście aktualizującą ten problem — „Dolinę Issy”, nakreślonej przez Tadeusza Konwickiego na podstawie książki Czesława Miłosza pod tym samym tytułem.

Ci, którzy czytali książkę, wiedzą, że stanowi ona wypadk do krainy dziecinstwa, na Litwę końca drugiej dziesiątki lat naszego wieku. Do owej owianej mgiełką nostalgii „dolinny”, w której życie jak gdyby zastygło na marginesie toczącego się wokół świata, gdzie Litwini, Polacy, Niemcy, Żydzi, obywatele ziemscy, chłopcy i szlachta zaściankowana żyją w swoistej, zastanej od wieków — choć już tu i ówdzie zaczynającej pękać — symbiozie. Gdzie nie ma do końca sprecyzowanego poczucia przynależności narodowej (najczęściej jest się „tutejszym”), i gdzie wciąż jest miejsce na czary, gusła, czarty i leśne boginki, z którymi obcuje się na co dzień. I gdzie jest czas na rzecz najważniejszą: na smakowanie życia takim, jakim zostało ono nam dane, i na rozumienie przyrody, która nas otacza. Jest w dolinie Issy miejsce na biologię, ale jest również — na refleksję filozoficzną i zadumę nad człowieczą kondycją. Dramatis personae: ziemianin — dziadek Surkont, szlachcic na zagrodzie — Romuald Bukowski, gajowy Baltazar, owczarz Masiulis, piękna samobójczyni Magdalena i ksiądz Peiksa, zakochana w swym chlebodawcy Barbarka i Domcio usiłujący zgłębić tajemnicę boskości — wszyscy oni żyją, pracują, kochają i grzeszą na sposób właściwy ich pochodzeniu i osobowości. Ale spoglądamy na nich także oczyma postaci pierwszoplanowej, małego Tomaszka, wnuka ziemianina Surkonta. I to spojrzenie właśnie wnosi do „Doliny Issy” wymiar poetycki. „Cóż za przelaz — notował w swym dzienniku Jerzy Zawieyski, pod wpływem lektury książki Miłosza. — Właściwie jest to poezja. Słowo Miłosza jest konkretne, realne, równocześnie poetyckie”.

No właśnie! Jak przełożyć poezję na język kina? Jak zamknąć tę luźną strukturę książki Miłosza, jej refleksyjność, jej metaforykę, jej osobliwą dramaturgię — w ramach ekranu kinowego? Wydawało się od początku, że predystynowany do takiego zabiegu jest tylko jeden człowiek w Polsce — reżyser i pisarz, także z litewskiego maticznika się wywodzący — Tadeusz Konwicki. I autor „Sennika współczesnego”, istotnie, podjął się nakreślenia „Doliny Issy”.

Jak mu się to udało? Słyszałem słowo bezkrytycznego zachwytu nad filmem, dochodziły mnie też głosy krytyczne. Ze nudny. Ze reżyser nie od-

glądaniu filmu. Musiał więc film na tyle zrosnąć się ze swym literackim pierwowzorem, na tyle „wejść” w jego istotę, aby potem nawet poważne „dowolności” reżysera, mające poświadczać indywidualność jego interpretacji, nie wypaczyły sensu i ducha książki czy opowiadania. Taka idealna symbioza miała — moim zdaniem — miejsce w wypadku ekranizacji przez Wajdę „Panien z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza. Opowiadanie napisane wtedy, kiedy autor miał 30 lat, zostało dopełnione wiedzą o świecie i ludziach przez pięćdziesięcioletniego reżysera. Ale odbyło się to bez zgrzytów, nastąpiło jakby przeniknięcie się osobowości artystycznych pisa-

tałgiczne”, ale wydaje mi się, że istotą „Doliny Issy” jest przede wszystkim, złączony z istotą człowieczeństwa, bezustanny wysiłek poznania, zrozumienia, a przynajmniej przeżycia otaczającego nas świata — tego ludzkiego i tego ponadludzkiego. Kiełkuje w nas ta potrzeba od lat najmłodszych. Nie więc dziwnego, że głównym nośnikiem owych niepokojów, które nawiedzają szalonego Baltazara i świętokradcę Domcia, szarpanego ziemską miłością księdza Peiksa i filozofującego dziadka-ziemianina Surkonta, jest nie kto inny, jak mały Tomaszek. Tomaszek, wokół którego ludzie żyją, kochają się, mordują i grzeszą cielesnie, bluźnią przeciw Bo-

EKRAN I WIDZ

Jak sfilmować poezję?

daje istoty ducha książki Miłosza. Ze niepotrzebnie wprowadza do filmu drugi wymiar czasowy przez „współcześnie” recytowane, na tle amerykańskich wieżowców, wiersze Miłosza, co cała „reszta” spycha do roli „retrospektyw”. Innym osobom — taki właśnie zabieg podobał się, przydając ekranizacji, ich zdaniem, bardziej filozoficznego, uniwersalnego wymiaru. Należę do tych, którym dzieło Konwickiego podobało się w sposób umiarkowany, chociaż uważam, że nie brak w nim scen naprawdę doskonałych (bo zresztą film ma konstrukcję „luźną”, rozpada się na szereg przynależnych sobie opowieści, kieruje się logiką widzenia autorskiego, a nie przyczynowo-skutkowym ciągiem pokazanych na ekranie zdarzeń, co jest zresztą charakterystyczne dla twórczości Konwickiego). Ale mam wciąż przed oczyma dzieło Miłosza i ono mi przeszkadza w percepcji filmu Konwickiego.

Otóż to: przeszkadza. Może właśnie istota doskonałej adaptacji filmowej polega na tym, aby literacka wersja dzieła nie „przeszkadzała” nam w o-

rze i reżysera. Były to na ekranie te same „Panien z Wilka”, tylko jakby napisane w bez mała pół wieku później, z perspektywy minionych lat pięćdziesięciu.

Zygmunt Kalużyński nazwał „Dolinę Issy” filmem przede wszystkim nostalgicznym. To znaczy takim, w którym dominuje tęsknota za dawnymi czasami, miejscami, ludźmi, wśród których artysta (reżyser) przed laty się obracał, między którymi żył, za światem, który już nigdy nie wróci. „Dla Konwickiego [...] okolica ta jest czym innym [niż dla Miłosza — MD]; właśnie ową wyspą rezerwy psychicznej, Arkadią, Tebaidą, Dzikimi Polami, Far-Westem, i także, i nade wszystko, dzieciństwem utraconym, ale zarazem stale posiadanym wewnątrz. Dlatego uważam, że Konwicki, mimo że trzyma się materiału powieści Miłosza, w istocie zrobił z niej zgola własny użytek”.

I tutaj właśnie otwiera się pole do dyskusji na temat prawa do robienia przez reżysera „własnego użytku” z dzieła innego artysty. Książka Miłosza to niewątpliwie dzieło również „nos-

gu i wznoszą się niemal na wybitny świętości, w tym wszystkim właśnie spełniając swój ludzki wymiar.

„Ostatni horror na Litwie”, napisał Kalużyński o filmie Konwickiego. W książce Miłosza nie ma horroru. Są wprawdzie strzygi, żyjące trupy i inne okropieństwa, jest biologiczność, która mogłaby zatracać nawet o naturalizm, gdyby nie było w tej „biologii” tak wiele poezji. Kiedy mały Tomaszek płacze nad skrwawionym trupkiem zastrzelonej dopiero co przez siebie wiewiórki, wiemy na pewno, że z tego chłopca wyrosnie w przyszłości nie myśliwy, ale poeta. W filmie Konwickiego chłopiec też płacze nad wiewiórką, ale to nie ten sam płacz, co u Miłosza.

Dlatego, choć z przyjemnością obejrzałem „Dolinę Issy” Tadeusza Konwickiego, to pozostaję zwolennikiem „Doliny Issy” Czesława Miłosza. W tym przypadku słowo wciąż jeszcze wychodzi zwycięsko w zestawieniu z obrazem. Pytanie zawarte w tytule: jak sfilmować poezję? pozostaje zatem wciąż sprawą otwartą.

M. D.

On nie ma żadnych układów

— „W polskiej wokalistyce rockowej tylko niewielka grupa piosenkarzy zdaje się zajmować miejsce w czółwie. Należy do niej niewątpliwie Krzysztof Cugowski, wokalista o nieograniczonych zdolnościach i wrodzonym talencie” — takim komentarzem opatrzone jest na obwołanie trzecia długogrająca płyta „Wokół cisza trwa”. Jak się ta kariera zaczęła?

— Niechętnie wracam do przeszłości, przynajmniej tej dalekiej, z lat siedemdziesiątych. Włożono mnie do szufladki z napisem „Budka Suflera” i przez wiele lat po odejściu z „Budki” czulem się jak aktor, którego tytułowa rola w bardzo długim serialu zburzyła plany wielu jego innych kreacji. Kojarzono mnie tylko i wyłącznie z lubelskim zespołem. Dzisiaj już chyba nikt nie sądzi, że kiedyś znów do tej szufladki powrócę.

— Jaki był ten sezon dla pana?

— Na pewno lepszy od wielu poprzednich, ale ja ciągle wierzę, że najlepsze dni jeszcze przede mną. Pracuję obecnie z wrocławską grupą „Cross” a patronuje nam Polskie Stowarzyszenie Jazzowe z siedzibą we Wrocławiu. Właśnie z grupą „Cross” nagrałem płytę „Podwójna twarz”. Piosenki wchodzące w skład mojego czwartego longplaya skomponowałem wspólnie z Romkiem Lipko i Krzysztofem Mandziarą do tekstów Magdy Wojtaszewskiej i Adama Sikorskiego. Wiele utworów z tej płyty prezentowało już Polskie Radio.

— Cieszy się pan chyba, że wokół tego krąży się coś dzieje. Nie wiem, może to przypadek sprawił, iż tytuł pana poprzedniej długogrającej płyty



Fot. W. Stępień

„Wokół cisza trwa” był bardzo adekwatny do losu, jaki ten longplay spotkał.

— Bo ja nie śpiewam muzyki komercyjnej. Co wcale nie oznacza, że nie liczę się z gustami publiczności.

Liczę się bardzo, ale w każdej piosence staram się być sobą bez względu na to, czy piosenka jest mniej lub więcej przebojowa.

— Kiedy od „wielkiego święta” słucham w radiu pana piosenek, (że wspomnę o lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia, gdzie prawie zapomniano o pana istnieniu), jest mi ogromnie żal, że tak wielu utworów nikt do tej pory szerzej nie zaprezentował.

— Nie miałem nigdy szczęścia do dobrego mecenatu. Nie miałem nigdy człowieka (w tej branży nazywa się go „popychaczem”) lansującego poszczególne numery, mającego po prostu układy. Ja nie mam żadnych układów: ani dobrych, ani złych. Ja tylko śpiewam. Od wielu już lat liczę wyłącznie na siebie. Może nie mam w swojej karierze zbyt wielu sukcesów, ale na pewno mam satysfakcję, że to, co do tej pory zrobiłem, wykonałem jak umiałem najlepiej. I kiedy rano gołą twarz, mogę spokojnie patrzeć w lustro. Ja nie lubię nikomu niczego zawdzięczać. Chociaż przyznam się szczerze, że w najtrudniejszym momencie mojego artystycznego życia pomógł mi Piotr Figiel, obejmując opiekę muzyczną podczas nagrywania trzeciego longplaya.

— Jak często miewa pan momenty, gdy chciałby pan rzucić śpiewanie i uprawiać np. warzywa?

— Wcześniej zdarzały mi się chwile załamania. Jednak kregostup mam twardy.

Rozmawiała: Agata Arwi

WIEŻA PROCHOWA

ZAMEK Praski, dawna siedziba królów czeskich, należy do najcenniejszych i najczęściej odwiedzanych zabytków kulturalnych Czechosłowacji. Do obiektów, które są trwale udostępnione do zwiedzania, została obecnie zrekonstruowana Wieża Prochowa.

Wieżę Prochową zbudował w schyłku XV wieku Benedykt Rejt (Ried), który wniósł wielki wkład w przeobrażenie Zamku Praskiego. Trzema wieżami artyleryjskimi — Daliborka, Biała Wieża i Wieża Prochowa (nazywana „Mihulka”) — umocnił nowy mur obronny. Zdolności obronne wieży nigdy jednak nie wykorzystano: służyła jako laboratorium artyleryjskie i skład amunicyjny.

W suterenu wieży miał swoją pracownię wybitny ludwisarz Tomasz Jarosz z Brana twórca czynnych po dziś dzień dzwonów Katedry Św. Wita. W zrekonstruowanych wnętrzach warsztatu wystawione są obecnie wyroby rzemiosła odwiecznego: dzwon z bazyliki św. Jerzego, odlew trumny Rudolfa II, rzeźby, broń i przedmioty użytkowe.

W przyziemiu wieży eksponowane są dokumenty dotyczące jej historii: od planów budowlanych aż po dokumenty związane z obecną rekonstrukcją budowli.

Ekspozycja na pierwszym piętrze poświęcona jest początkom rozwoju nauki w okresie renesansu: alchemii, górnictwu, astronomii. Pod pierwotnym sklepieniem zrekonstruowano pracownię alchemiczną, instrumenty i książki dokumentują pracę takich badaczy, jak Tycho de Brahe, Johann Kepier, Tadeáš Hájek z Hájku itd.

Na ostatnim piętrze wieży umieszczono za eksponaty rzeźbami i rzeźbami Praskim w XVI i XVII wieku. Znajdują się tu części kolekcji Rudolfa II, słowno obrazu mistrzów włoskich. Wyświetlone są tu także renesansowe srebrne naczynia i przedmioty pochodzące z odkryć archeologicznych w grobach, np. klejnoty królowej Anny Jastelionki.

AP Orbis

KOCHAM cię — Adela powiedziała półgłosem i drgnęła, jakby te słowa ją otrzęsły. Szybko rozejrzała się dookoła, ale na szczęście ludzie na przystanku poustawiali się luzno, w sporych odległościach od siebie i niby drzemając w swoim na pół realnym świecie, czekali na ten sam, co zawsze, autobus. Usta Adeli nieoczekiwanie dla niej samej wymówiły: Kocham cię — przeznaczone dla kogoś, kto był blisko, a może w niej samej, w mózgu, w sercu, w krwi i w całym ciele?

— Dochodził do tego, że sama mówiła to, co pragnęłabym usłyszeć — pomyślała. — Już dość mam tych pustych słów i pustego domu, zwłaszcza teraz, gdy dziecko wyjechało na wakacje. Muszę delikatnie i nie drażnić go, przypomnieć, że jest moim mężem. Wiem, że jest bardzo zajęty, ale przecież... Trzeba tylko umiejętnie; bardzo nie lubię schlebzać. Jeszcze będzie mi dziękował, bez wątpienia! Gdyby tylko był w domu...

Nadjechał długo oczekiwany autobus, którym ludzie wracali z pracy do podmiejskiego osiedla. Adela usiadła przy oknie i myślała: — Tak mało... To właśnie mu powiem: tak mało jesteś w domu, pomyśl. Wszystkie kobiety... Zresztą rozejrzyj się, ile jest do zrobienia: z pralki leje się woda, płynię z łazienki do przedpokoju, stamtąd jakąś szczeliną w podłodze do sąsiadów, którzy mieszkają pod nami. Przychodzili w tej sprawie. Poza tym jest dużo innych dokuczliwych drobniaków, które wymagają męskich umiejętności, męskiej siły. Pokażę ci wszystkie po kolei, jeżeli jeszcze nie zwróciłeś uwagi...

Wysiadła. Niecierpliwie pobiegła do domu odległego o kilkaset metrów. Stała przed swoimi drzwiami i przekręciła klucz. Wewnątrz panowała cisza. Adela obeszła całe mieszkanie. Pokój córki przesycał schludny ład, jaki zostawiła, wyjeżdżając na letnie kolonie, natomiast u męża było inaczej. W niezastanym łóżku, między poduszką i koldrą tkwiło radio, na podłodze przewracały się gazety, z krzesła zwisały różne części garderoby. On, przegrodzony płachtą papieru, odpowiedział leniwie na jej powitanie. Popatrzyła na wszystko dookoła z twarzą sztefła. Usta jej zadrgały i opadły. Miała mu tyle powiedzieć. Nie, nie tylko o uciążliwości napraw. Pragnęła długiej rozmowy, jego bliskości i nagle to, co sobie umyśliła, zanim tu weszła, oddaliło się od niej, odczuła niemożliwość wypowiedzenia teraz tego wszystkiego, co się w niej nagromadziło. Zaraz więc poszła do łazienki. Obok popsutej pralki stał kosz pełen brudnej bielizny. Adela wzięła ręce w uchwyt i zniosła go na dół. Po drodze wzięła od sąsiadki klucz do pralni, otworzyła ją i całą zawartość kosza wepchnęła nerwowo do maszyny.

Niebawem powróciła na górę i z jakimś niecierpliwym pośpiechem znowu zajrzała do pokoju męża, lecz nic się tutaj nie zmieniło. W kuchni napila się herbaty i zbiegła na dół, do pralni. Tym razem przebywała tam dłużej, do samego wieczora. Kiedy po raz drugi wspinała się na górę, wszystko miała wyprane, wypłukane i powieszzone.

Weszła do środka i raz jeszcze skierowała się do pokoju męża. Leżał rozbrany już w połowie i spał. Na podłodze stało radio chrypiące niezrozumiale, wylączyła je, zajrzała do łazienki, umyła twarz, zęby i z ociąganiem znalazła się w swoim pokoju. Podczas gdy stała na środku niezdecydowana i jakby na coś jeszcze czekając, usłyszała, że wiatr postuka w ściany i w duże szyby okienne. Do mieszkania wdzierał się chłód. Rozeszła pościel, rozebrała się i wzięła do łóżka książkę, ale nie mogła się skupić. W gęstych podmuchach z pół drżał nie ostonięty dom, pobrzękiwały szyby. Adela odrzuciła koldrę, wstała i nie miało ponownie weszła do pokoju męża. Zagościła w niej nieczym nie uzasadniona nadzieja, spodziewanie przez nią samą bliżej nie określone. Czego właściwie się spodziewała — karcila siebie? Jak często leżał odwrócony twarzą do ściany. Zadrżała z gniewu, żalu i rezygnacji. Nie umiała określić swego odczucia, ale z przyzwyczajenia okryła mu plecy i wróciła do siebie. Przystępując próg między ich pokojami, odwróciła się z nadzieją, jakby coś mogło się stać po jej myśli. Spał, zapewnił ją o tym dość głośnym chrapaniem. Zgasła światło i chociaż pragnęła zasnąć równie mocno jak on, sen nie przychodził.

Denerwowała się coraz bardziej, aż w końcu poczuła w plecach, stopach

i biodrach ukłucia, niepokój i dobrze sobie znane bóle reumatyczne. — Nerwobóle i brak zrównoważenia psychicznego — tak je nieraz określał śpiący w tej chwili mąż. Cierpienie, które przepłynęło przez całe ciało, rozplamiło mózg i roztrzęwiło go w jakiś udrażający sposób. Zaczęła dygotać, jakby chciała wyrzucić z siebie jak na jakiś brzeg to, co odbierało ją jak w jakiś sposób. Zaczęła dygotać, jakby chciała wyrzucić z siebie jak na jakiś brzeg to, co odbierało ją jak w jakiś sposób. Zaczęła dygotać, jakby chciała wyrzucić z siebie jak na jakiś brzeg to, co odbierało ją jak w jakiś sposób.

Dziwnie zabolaly ją usta, a właściwie sam brzeg obrysowujący je dookoła. Dotknęła ich palcami, były suche

i nabrzmiały. Przypomniała sobie, że ręce jej męża są zdumiewająco miłe i delikatne, gdy się ich dotknie. Lub pogładzi, i że on sam nie może tego zrozumieć, jakby nie dowierzał, że ona ich bliskość tak właśnie odbiera. Gdyby swoją dłoń dotknął jej ust, pocałował je, przytulił ją do siebie, potrzebował jej ręk, piersi, całego ciała, ból byłby mniejszy. Gdyby jej pragnął, za nią tesknili, zwracał się do niej, szukał... Niechby teraz był przy niej.

Ażby to wszystko od siebie oddalić, przewracała się z jednego boku na drugi, a potem na brzuch i na plecy, coraz szybciej i gwałtowniej jak człowiek, który chce zdusić ogarniający go ze wszystkich stron pożar. Na próżno. Wydawało się, że wszystkie wysiłki: szamotanie się, rosnące zdenerwowanie, a nawet rozpaczą i bezradnością podsycają cierpienie, wzmagały udreknę. Pozostało już tylko jedno. Otworzyła podręczną torebkę, która leżała na stoliku, i wsunęła rękę tam, gdzie spodziewała się, że mogą być środki nasenne. Pod palcami wyczuła ostatnią pigułkę.

Następnego ranka obudziła się z głową ociężałą. W mieszkaniu było jasno i panowała taka cisza, iż wydawało się, że wszystko w niej ugrzęzło. Adela nie myślała o tym, co czuje, ani o tym, co się wkoło dzieje. Nie interesowała się nawet, czy jej mąż czyszcza śpi, czy może już wyszedł. Myślała, znalazła się setki kilometrów od domu. Podróż daleka, niepowstrzymana podróż na drugi koniec kraju. Wstała, szybko ubrała się, wzięła torebkę, wrzuciła do niej list od córeczki, podniosła walizkę i poszła na przystanek taksówek. Kazala wzięć się na dworzec. Przy jednym z kilku okienek kupiła bilet nad morze, a w bufecie dwie kanapki i wyszła na peron. Weszła do najbliższego wagonu, zajęła miejsce w drugim czy trzecim przedziale i nie interesując się otoczeniem, wcisnęła głowę i ramiona w miękkie oparcie.

Przed zachodem słońca dotarła na miejsce, do dzielnicy domków letniskowych. Wiele z nich mieszkańcy z konieczności przystosowali do użytkowania całorocznego. Oto niewielki, szary dom z ganeczkiem, odgradzony od sąsiadów rdzewiejącą siatką. Adela pchnęła furtkę, spojrzła na różę z prawej i z lewej strony; cichą, mało zdeptaną dróżką podążyła na ganek i do środka. W kuchni zastała dwie kobiety. Wysoka, postawna blondynka uważnie spoglądała na wchodzącą i natychmiast podbiegła, witając ją głośno i serdecznie.

— Adela! Mamo! Nareszcie przypomniałaś sobie o nas...

— Celestyno, ja nie zapominam o was... nigdy.

— Podeszły jeszcze bliżej ku sobie i uściśnęły się z całej siły.

— Mamusia! Nie śpij! Mamy gości — wołała znowu Celestyna.

— Aaaa, widzę...

Siedząca przed wejściem do następnego pokoju, ale jeszcze w kuchni, kobieta stara i siwa drgnęła, jakby ktoś nią potrząsnął i nieprzytomnie zamrugowała oczami. Adela zbliżyła się

do niej i pocałowała ją w miękki, fanelowaty policzek.

— Cieszysz się z przyjazdu Adelki? Będzie weselej! — Celestyna mówiła do matki jak do dziecka.

— Cieszę się, tak rzadko do nas przyjeżdża.

— Jak tu pięknie — zachwycala się Adela — Co za róża!

— O, to moja duma i radość — mówiła Celestyna — Robię wszystko, co mogę, żeby otoczenie, w którym przebywam, było piękne, a nawet uduchowione. Oczywiście w moim domku nie ma luksusów.

— Ale jakże cudowna prostota, a dookoła natura i odprężenie. To na pewno można u ciebie znaleźć — deklamowała szczerze Adela.

— Cieszę się, że to mówisz. Cieszę się, że przyjechałaś do nas. — Celestyna podeszła do wystygniętej kuchni, poprawiła węgiel, podmuchała na drzewo i zajrzała do garnków. — Zy-

ADELA

Jadwiga Podbielska

cie tu prowadzimy mniej więcej takie same, jak dawniej. Jeżeli idzie o mnie, to nadal pracuję w porcie, potem ogród i mama. No i trochę dobrej lektury. Ostatnio rozczytuję się w Teilhardzie de Chardin. Zawsze myśli się o tym nędznym ciele. I w dzień, i w nocy. A przecież także duszy trzeba coś dawać, przynajmniej moja tego się domaga.

— Ogród zabiera ci dużo czasu, kosztuje tych innych zajęć, prawda?

— No cóż, moja mama bardzo jest zadowolona...

Adela spojrzła na staruszkę siedzącą w miękkim fotelu, błogo uśmiechającą się do córki i do gościa.

— ...że mamy kwiaty, warzywa, kilka jabłonek. Człapie sobie dookoła domu za kurami, przepędza szcury, zagłada to tu, to tam. Ale wszystko ja muszę zrobić, skopać, posadzić i zamusić się opiekować jak dzieckiem. Ona bardzo to lubi! Ale ja również. Mówiłam ci zresztą, cieszę się wielką radością tego, co dookoła, jego nadzwyczajną harmonią i czuję, że mam ją w sobie. I widząc, że świat zdąży do coraz większej doskonałości, ja również pragnę znaleźć się w wielkim pochodzie rozplamiionych duchów! Nawet różę, które otaczają mój domek i kwitną całe lato, są wyrazem jakiejś wewnętrznej miłości, która przenika mnie na wskroś. Och, wydaje mi się, że znalazłam drogę, na której dzieją się nadzwyczajne rzeczy!

Adela czuła, że ulega temu zamroczonemu, bo i jej zdaje się teraz, że tkwi w tym otoczeniu jak dawniej, jest odgradzona od własnego niepokoju, od tego, co zostało daleko, ale także, co po przestąpieniu progu tej chałupiny wzięła w siebie. Zobaczyła, że matka Celestyny pochyliła się na bok, a potem do przodu i głośno pociągnęła nosem.

— Już, mamusia, już. Dostaniesz dobre jedzonko. Też będziemy jadły z Adelką, tylko troszeczkę później. A my — zwróciła się do gościa — pojedziemy do ogródka, siądziemy pod jabłonek i będziemy bez pośpiechu popijały wino. Mówię ci, wszystko mam swoje.

Po kolacji Celestyna posadziła matkę w kuchni na niskim stoliku i przysunęła ku niej miskę z ciepłą wodą. Pomogła włożyć do środka nogi i umyła je starannie, bez pośpiechu. Potem delikatnie wytarła i poprowadziła staruszkę do przygotowanego łóżka. Przebrała ją w nocną koszulę, ułożyła wygodnie i uchyliła okna. Adela czekała w ogrodzie, wdychając zapach wilgotnej ziemi i dojrzewających malin. Za chwilę przyszła Celestyna, usiadła po drugiej stronie stolika okrągłego jak grzybek, bo ustawionego na jednej nóżce.

— Tu można odpocząć — mówiła radośnie podniecona i co jakiś czas oddychała głęboko, jakby ją coś unosiło w górę. — Cieszę się, że mieszkam prawie jak na wsi, na boku tego miejskiego szaleństwa. Mam swoje własne życie i może nie tyle tutaj w ogrodzie, co tam, na górze — podniosła oczy ku oknom poddasza. — Zbudowałam je z uporem i cierpliwością. Zaprowadzę cię...

Kiedy zrobiło się ciemno, weszły z powrotem do mieszkania, przeszły przez kuchnię, przez salonik, w którym spała matka, do ciemnego korytarzyka, skąd prowadziły wewnętrzne schody na stryżek. Było tam trochę duszno i pachniało wysuszonym drzewem. Celestyna, ubrana w ciemną, wydekolowaną suknię w ciemną czerwoną różę, trzymała w rękach naftową lampę na wysokiej, drewnianej nóżce i z tajemniczym uśmiechem ukazywała przeciwną ścianę. Adela spojrziała. Stały tam, jeden przy drugim, drewniane regały wypełnione setkami książek.

— Ach! Ależ tu zupełnie inny świat!

— Odpocznijmy sobie — Celestyna postawiła lampę na stoliku i wyciągnęła się na wielkim posłaniu, rozłożonym na samej podłodze. — Dzieki książkom nie jestem sama. Poezja, filozofia i wszystko, co chcesz. Możemy sobie razem poczytać, to takie cudowne, jakby się wszystko jeszcze raz przeżywało, całe życie od nowa i zupełnie inaczej. Mówię do żywej osoby ustami poety? — zawołała czystym, dźwięcznym, jak dawniej głosem, nadal dzweczącym. Tego w najśmielszych marzeniach nie można sobie wyobrazić Ty i ja, i nikt więcej...

Celestyna wyjęła z niższych półek tomik arabskiego poety, ułożyła się na brzuchu, trzymając przed sobą książeczkę, która wewnątrz była pozakładana w wielu miejscach wysuszonymi kwiatami. Obok niej wyciągnęła się Adela, dotykając swoim ciałem jej ramienia i boku. Podała się całkiem zachwyceniu przyjaciółki.

— Nie żałuję tej książki, chociaż kwiaty trochę ją poplamily. To tak, jakby prawdziwe i gorące dopełniło brzegów tej poezji, a może nawet ją wzburzyło i pchnęło w nieznaną...

Mówiła w uniesieniu. Adela mimowolnie spojrzła na jej duże usta, ciemnoczerwone, wilgotne i poczuła, że pragnie do nich zbliżyć się i czegoś w nich poszukiwać, tego, co było blisko, a czego jeszcze nie znała i nie mogła sobie wyobrazić. Jednakże cofnęła się myślą i tylko rękę położyła na biodrze Celestyny, a potem wsunęła pod jej piersi, pod ciepły i pulsujący brzuch. Celestyna urwała, jakby zastygła i zacichała w pół słowa.

— Mów, proszę cię, mów. Słucham cię... mów — prosiła Adela — Jakże cieszę się, że jestem przy tobie...

— Zapomniałam, o czym mówiłam...

— Więc słuchaj, znam tę poezję, teraz ja będę mówiła... Będę opowiadała cierpliwie i szczegółowo. Wiele lat pracowałam wśród książek i bardzo dużo ich przeczytałam. Wiesz o tym, prawda? Będiesz mnie słuchała? Pragniesz moich opowieści? Och, ileż mi się ich teraz przypomina! Jeżeli tylko zechcesz, będę ci je szeptała całą noc! Najpiękniejsze historie o miłości nie zostały zapomniane, żyją w pieśniach, poematach i stamtąd płyną do ludzkich serc, ludzkich uczuć...

Rozmawiały ze sobą cicho i długo, trochę czytały.

Na drugi dzień była sobota i nie trzeba było śpieszyć się dokądkolwiek. Pierwsza obudziła się Adela, lecz Celestyna wcześniej zeszła na dół. Rozległ się stamtąd głos matki:

— I tak postępuje córka? Mogłaś starą matkę zostawić samą, bez opieki? Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo obciążylabyś swoje sumienie?

— Mamusia, ja wiem. Tylko... Adela powiedziała mi wczoraj, że bałaby się tam spać bez drugiej osoby, a na dole nie ma trzeciego łóżka.

Po śniadaniu wyszły obie z domu, ażeby zwiedzić ogród w słońcu. Trzymały się za ręce i chciały obejrzeć każdą roślinę, krzaczek i drzewo. Wszystko posadziła Celestyna. Jabłonek o gładkich pniach okrywały zielone, tu i ówdzie pożółkłe liście, a wśród nich lśniły jabłka jeszcze twarde, ale już zaróżowione. Wśród krzaków malin, pod własnym ciężarem spadały na ziemię ogromne, pachnące jagody. Na brzegu złożyły się pierwsze astry, przeciskające do sąsiadów pojedyncze listki i paczki. Potem powędrowały na długi spacer, z którego powróciły przed samą kolacją. Celestyna przygotowała zimny posiłek z herbatą. Jadły w milczeniu. Stara kobieta siedziała z boku, przyglądała się ciężko jednej i drugiej. Wreszcie zaczęła jęknąć: — Celestyno... ja chyba niedługo umrę, czuję to... Nogi moje i ja... zastygam w górę, aż do serca...

— Mamusia, jeszcze mi pożyczysz! Chociaż włosy masz białe, ale twarz różowa, gładka, aż miło popatrzeć, prawda Adelko? Nóżki umyję ci jutro. Pościelę ci tylko i położysz się, kiedy będziesz sama chciała. Wybac, dzisiaj też nie będę spała na dole. Wiesz o tym, że mam jeszcze zamiar studiować? Adelka może mnie wiele nauczyć. Pa... pa-pa, najdroższa.

Wspięły się na górę z zapalonym światłem, chociaż nie było jeszcze ciemno. Celestyna postawiła naftową lampę na stoliku i nieznacznie zniżyła knot. Przy małym okienku, wyciętym w deskach, stała Adela i spoglądała na ogród. W dole paliły się w poświacie zachodzącego słońca róże.

— Odpocznij sobie — Adela usłyszała ciepły, serdeczny głos. Powolotku odwróciła się. Popatrzyła na Celestynę, jakby jej nie widziała. Ruszyła z miejsca pod oknem i posuwiała się, jak na ośle, po omacku. Wyciągnęła ręce, objęła ją gwałtownie i nie wypuszczając z uścisku, z całej siły przycisnęła swoje usta do jej warg. Upadły na postanie, zapominając o reszcie. Ich ręce, twarze i ciała poszukiwały siebie znowu ze wzrastającą niecierpliwością. Rozległ się szepot Celestyny:

— Jesteśmy tylko we dwie, Adelko. Jaka jesteś urocza, śliczna... Powiedz mi prawdę, jak to się stało, że przyjechałaś? — usłyszała nagle inny ton. — Nie masz pojęcia, jak potrzebuję... Już nie wiem, co mam ze sobą zrobić... Znalazłam się między szaleństwem i tym, co nie jest mądre... Tak pragnę zapomnienia. Odejdźcie od rozsadku, do którego zmusza mnie każdy dzień.

— Nie już nie mów — wróciło dawne zabarwienie. — To cudowne, że jesteś ze mną, taka słodka, żywa i nie da się z tym porównać żadna poezja, żaden poemat... Wszystkie cierpienia, od których wysychamy, niech przepadną! W miłości... Och... jakie ty masz ręce! Niech zginie to straszne, niekończące się umieranie!

Zgasiły światło i długo były ze sobą.

W niedzielę rano Adela zeszła na dół przed Celestyną. Poszła do ogrodu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Okrążyła dom i doszła do furtki. Mgielka, która powoli unosiła się w górę, odsłaniała przymglone astry, wilgotne róże, jabłonkę w gęstwinie szarozielonych liści. Oparła się o parkan i zobaczyła, że w cieniu jabłonki stoi grotta z figurą świętej. Patrzyła w zdumieniu i nie mogła pojąć, jak to się stało, że do tej pory jej nie widziała. Gdy tak stała, spostrzegła, że spoza statuy i jabłonki ktoś się wysuwa. Idzie wolniutko, jakby utykał i coś mówił do kogoś w pobliżu, albo do siebie. Była to matka Celestyny. Przywlokła się do furtki, stanęła przed Adela i od razu powiedziała złowrogo: — Czas na ciebie. Jedź stąd i nie wracaj!

— Dlaczego? Pani...
— Nie jesteś tutaj potrzebna ani mnie, ani Celestynie. Takie, jak ty, rujnują dom, sprowadzają różne nieszczęścia. Wychodź stąd, bo z powrotem nie wpuszczę!
— Celestyna na pewno chce, ażebym pozostawała!

— Ona sama nie wie czego chce. Zaraz stąd wyjeżdżaj, uciekaj! Nie chcę cię tu dłużej widzieć. To jest mój dom i Celestyna, żebyś to pamiętała! Na ganku są twoje rzeczy. No, idź już, idź!

Popychała ją trzęsącymi się rękami, sucha i twarda jak żelazo, nie pozwalając sobie wyminąć. Adela popatrzyła w jej twarz, obcą teraz i złą, na ganek i na cały dom. Na poddaszu, w okienku wyciętym w poszarżanych deskach dostrzegła głowę wychylającą się Celestyny, która spoglądała na wypędzającą i wypędzaną, i milczała. Kiedy spojrzenia Adeli i jej spotkały się ze sobą, odwróciła głowę. Potem uniosła ją wyżej i patrzyła gdzieś daleko, w nieokreślonej przestrzeni poza domami i ogrodami.

Adela opuściła głowę i nie patrząc na starą, ani na róże, ani na cokolwiek, zawróciła tak, jak jej kazano. Weszła na schodki i przez uchylone drzwi wśliznęła się do środka ganku. Na zakurzonej podłodze, przy walizce leżała również jej torebka. Podniosła ją i otworzyła. Wśród drobniaków, pogniecionych papierków i zużytych kosmetyków dojrzała list córki z wulkacji, wypełniony dobrze sobie znanym, uczniowskim pismem. Patrzyła na litery, pojedyncze słowa, szukała w nich tylko osoby, która je pisała. Adela otrząsnęła się z bezruchu i zamyślenia, w jakie popadła. Zamknęła torebkę, wzięła walizkę i śpiesznie opuściła ganek. Przy furtce zatrzymała się i spojrzała poza siebie. Dróżką między domem i jabłonkami przechadzała się Celestyna z matką, która trzymała ją pod rękę, opierała się o jej bok i ramię. Celestyna coś mówiła, czasem potraszała głową, nieznacznie ją odwracała, jakby spodziewała się, że może coś dosłyszy, jednak nie odwróciła się, ażeby popatrzeć na furtkę. Adela chwyciła walizkę, przycisnęła do siebie torebkę, opuściła ogród i wyszła na drogę.

DEBIUT

Wiesław Zbigniew Głowala

*jest wiatr
i chmury jakoś tak nisko
i spokój taki że po kościach
i trawa taka zielona
jak na wiosnę
to nie
że do drzwi nikt nie zapuka —
tu będzie najbezpieczniej*

*tylko ręce tak jakoś zwisają
i głębia nie poruszona*

*Kobieta którą ujmujesz
z którą postanowiłeś spędzić noc*

*kobieta którą przymierzasz do siebie
kobieta którą wyprowadzasz w pole
i która ciebie wyprowadza
jest może w tobie płonącą latarnią
światła warg —*

*za górą mroku
za rzeką ciszy
małe Betlejem
Jaruzalem
i oni tu
jeszcze dziećmi*

*a już dorośli
klęcząc
witają nadchodzący
dzień*

Ryszard Kornacki

Z OPŁÓTKÓW DZIECIŃSTWA - POWRÓT

*po kładce wieczoru
w noc się wspinasz ciemną
a potem na olimp
najjaśniejszej myśli
w konfrontację zamiarów
i spełnień magicznych
księżyc iskry krzesa
jak koń narowisty
gwiazd paląc ogniska
w muzyce in piano
w rozterce wspomnienia*

*najpełniej wtedy
śląc umyślnie wici
do drzwi dzieciństwa
zakolatać dłońią
i w progu własnym
sił odnaleźć
miarę
jak słowo ostre
które rodzi ogień
jak słowo miękkie
które rodzi wodę*

???

*czy ogniem jesteś
czy też zimnym kłamstwem
napotkanym w tłumie
proteskowych lalek*

*frazesem może
dźwięczącym jak wyrzut
albo solą ziemi
może solą w oku*

*czy może krwią jesteś
idącą do serca
czy powietrzem czystym
zapisanym w drzewach
może przeznaczeniem
może przemijaniem
może zmartwychwstaniem*

*albo dorastaniem
do następnych
pytań*

EPIZOD LEŚNY

*czekanie jest badaniem czasu
upływaniem zdarzeń
odliczaniem w kolejce do serca
krzepieniem naiwności
ruchem nieuchwytnym
tego co przeżyłeś
i co przeżyć przyjdzie
czekasz więc ciągle
na spełnienie lasu
mimo iż drzewa wymieniają liście
jak nagą prawdę
strojoną na pokaz
czekasz więc ciągle
na spełnienie lasu
w którym siodła zbyteczne
a ptak czysto śpięwo
czekasz więc ciągle*

*choć dzieci z gniazda
wyfrunęły w pole
i wiatr jesienny
niesie nowych zapach*

TEMAT PIERWSZY I NIE OSTATNI

Ojcu

*a mówileś że czas się nie kończy
zatopiony w wieczności pytań
uwięziony w kolorach pór roku
jak ptak cierpliwy
czekający na piskłę*

*mówileś także że zieleń spokojna
otula nam głowy pełne codzienności
te gorące jak ogień
i te posrebrzane
dojrzałe do ścięcia na procesję*

*przetworzone w mądrość
w różę która płonie*

*teraz procentują wieczory i woco
przechodzone w księżycu
i jest Twój głos we mnie
co ziemi dziś bratem
bursztynem spełnienia
bez dowodów prawdą*

*i jest Twój głos we mnie
na syntezę czasu
przedłużenie trwania
o złożoną jesień
choć kameleon przysłania
mi oczy
głos ziemi znakiem mym i sercom*

Janusz Olczak

WARIACJE NA TEMAT SŁOWACKIEGO

Wariant 1

*Ujrzałem Słowackiego w niebie ezerwonym
Polak w nim stał się aniołem
grzechy odstąpiły na stronę
cnoty wniesiono na cokole*

Wariant 2

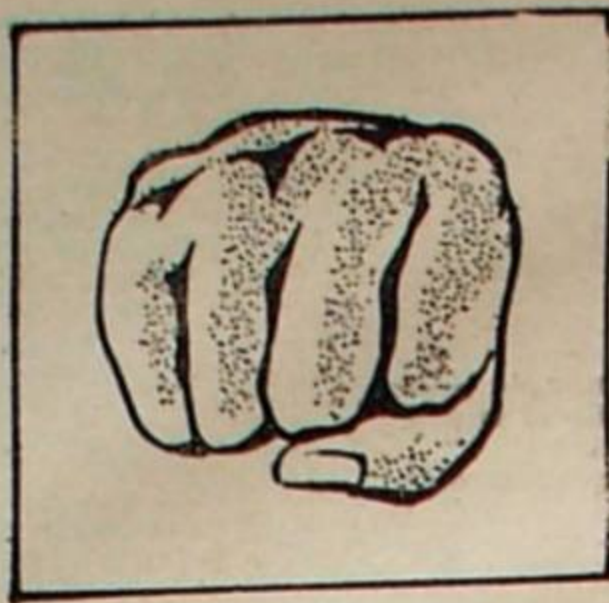
*Ujrzałem Słowackiego na komicie w niebie
Polak aniołem zostanie w potrzebie
diabelskie następnie wciąż płodzi uludę
a wszystko inne jest cudem*

Wariant 3

*Polaków to czy aniołów są niebiańskie hufce
na czele zaś Słowacki jak hetman z buławą
obrazek ten umieścisz w małej szpilki główce
nieskończoność jest bowiem niepojętą sprawą*

Wariant 4

*Cóż to za anioł w niebie co cygaro pali:
to Słowacki niezłomnym dalej jest Polakiem
zatanów los się dopełnia w czeluściach otchłani
a cygaro jest kometą i zbawienia znakiem*



Jumok



Dung-jumok



Sonnal



Pyonson-kut

PRZED miesiącem przedstawiliśmy naszym Czytelnikom historię dynamicznie rozwijającej się koreańskiej sztuki walki TAEKWON-DO. Pisaliśmy o ewolucji tej dyscypliny na przestrzeni dziejów, o jej relacjach z japońskim Karate i chińskim Kung-fu. Dziś pora na porcję informacji o podstawowych technikach TKD, zasadach uprawiania, rozwoju sportowym, różnicach w przepisach i zasadach walk w zależności od federacji (ITF i WTF), podstawowych różnicach TKD oraz Karate i Kung-fu, a także o filozofii tej sztuki i wymiarze TKD jako sztuki, czy stylu życia.

Co stanowi o specyfice TKD? Na ten temat napisano już wiele. Rzecz jednak w tym, że zwykle w obcych językach. Dla naszych potrzeb warto zapamiętać cztery następujące fakty, najogólniej charakteryzujące tę dyscyplinę:

1. Wszystkie techniki biorą w TKD początek z ruchu biodra. Dotyczy to zarówno uderzeń rękami, jak i nogami. Choć w sposób dla nas oczywisty — technik nożnych. Właśnie z ruchu biodra wypływa siła uderzenia. Jest ona następnie „przenoszona” na odpowiednie partie mięśni (najpierw długich, potem — krótkich), a potem materializuje się w postaci uderzenia stopy, czy dłoni. Na ów fakt nie zawsze zwraca się uwagę, patrząc na efektowne pokazy, czy samemu próbując wykonania (bardziej trafne: powielania) zaobserwowanych technik. Świadomość znaczenia inicjującego ruchu biodra przychodzi dopiero podczas treningów.

2. Ciało w czasie wykonywania pokazów, czy walki jest maksymalnie rozluźnione. Napięcie mięśniowe zredukowane do niezbędnego minimum. Dlaczego? Jest to raczej oczywiste. Aby bowiem zadać efektywne uderzenie, wykonać szybki unik, czy skuteczny blok, nasz układ mięśniowy musi być gotowy do wykonania takiego zadania. Nie może być więc niepotrzebnie przeciążony zbędnym napięciem.

Michał Rey

3. W TKD dominują techniki nożne. Oblicza się ich udział na 65—80 procent. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu większego zasięgu nóg (zwłaszcza w technikach wysoko) kiedy skuteczność dostępną wynoszą nawet do... 3 m wwyż i znacznie większej sily uderzenia stopą, dochodzącej do... 1500 kG (ręką o połowę mniej). Proporcje procentowe w Karate i Kung-fu są zupełnie inne, preferując udział rąk. Preferencja nóg ma także inną

konsekwencję. Postawa walki w TKD jest wyższa niż w Karate i Kung-fu, bardziej wyprostowana. A więc taka, żeby możliwość wykorzystania nogi była optymalna, o co byłoby trudno w pozycji niskiej.

4. Kardynalną zasadą TKD jest **prymat uników** w sytuacjach defensywnych. Dopiero w sytuacjach, kiedy unik jest niemożliwy, stosowany jest blok uderzenia.

czywiście każde ma swoją nazwę. Podajemy jedynie najbardziej powszechne:

- Jumok (dżumok) = przodem zwinętej dłoni (jak w boksie)
- Me jumok = spodem zwinętej dłoni (dłoń-młotek)
- Dung jumok (dang dżumok) = grzbietem dłoni
- Pyon jumok (pion dżumok) = zwinętymi palcami

TAEKWON-DO sztuka walki² sztuka życia

sztywnością. Jest to zresztą zasada stosowana także w innych sportach (np. w boksie). Spięcie mięśni następuje w momencie kontaktu stopy lub dłoni z ciałem przeciwnika, czy inną przeszkodą (np. deską, dachówką, cegłą).

3. W TKD dominują techniki nożne. Oblicza się ich udział na 65—80 procent. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu większego zasięgu nóg (zwłaszcza w technikach wysoko) kiedy skuteczność dostępną wynoszą nawet do... 3 m wwyż i znacznie większej sily uderzenia stopą, dochodzącej do... 1500 kG (ręką o połowę mniej). Proporcje procentowe w Karate i Kung-fu są zupełnie inne, preferując udział rąk. Preferencja nóg ma także inną

PRZEJDŹMY teraz do technik TKD. Ogólnie możemy je podzielić na nożne i ręczne, czyli ze względu na część ciała, którą są wykonywane. Rozróżniamy dalej techniki ofensywne i defensywne, wykonywane oczywiście nogami lub rękami. Takie rozróżnienie jest najprostsze i dla naszych potrzeb wystarczające.

Techniki ręczne. Podstawowymi technikami ofensywnymi są tu: **Jirugi** (czyt. dżirugi), czyli pchnięcia w przód i **chigi** (czyt. czigi) czyli ciosy szybkie, zadawane we wszystkich płaszczyznach. Technika obronna są **makkil**, czyli bloki. To jest na razie abecadło.

Widzieliśmy zapewne, oglądając pokazy, czy filmy, że ciosy mogą być zadawane dłonią w różny sposób. O-

— Sonnal = kancem zewnętrznym dłoni (dłoń-nóż)

— Sonnal dung (sonal dang) = przeciwna strona, wewnętrzny kant

— Batang son = podstawą dłoni

— Pyonson kut = wyprostowanymi palcami

Chcąc powiedzieć, że wykonano np. uderzenie kancem zewnętrznym dłoni, używa się nazwy płaszczyzny uderzającej, czyli Sonnal z dodatkami chigi, czyli słowa: cios. A więc razem: Sonnal chigi. Itd.

W przypadku pchnięć w przód (jirugi) sprawa nazewnictwa ma się podobnie. Np. pchnięcie wyprostowanymi palcami nazywa się Pyonsonkut jirugi (zasada tworzenia analogiczna jak przy ciosach).

Coś dla draki przed obiadem

Dokończenie ze str. 1

— Mów od razu, do jasnej cholery, co się stało — przerwał.

— Na szczęście nic...

— Dobra. To teraz po kolei...

Zdażył się spocić.

Jan Sobień, sześćdziesięcioletni emeryt. Mieszka przy ul. Melgiewskiej 18 e. Idąc do domu, często skraca sobie drogę, przechodząc pod wiaduktem obwodnicy. Niby nie wolno, ale się chodzi...

— Spieszyłem się do domu na obiad. Wchodząc do tunelu, pod wiadukt, zobaczyłem, że o kilkadziesiąt metrów w bok pracuje na swojej działce Józef Paprocki. Przeszedłem kilka metrów tunelem i nagle zrobiło mi się gorąco. Patrzę na tory i widzę, że lewa szyna jest odkręcona od podkładu i trochę przesunięta do środka, jakieś 5-10 centymetrów. Dalej już nie szedłem, tylko szybko zacząłem biec do wylotu. Zobaczyłem, że Paprocki jeszcze jest i krzyczę: „Paprocki! Na pomoc! Chodź tu szybko!” Nie wiem, ile tak wolałem, ale może będzie trzy minuty. Paprocki przybiegł i pyta, co jest. Krótko mu mówię, co i jak... Powiedziałem: „Siadaj bracie na rower i wal szybko do budki rozjazdowej na Turystyczną, bo tu zaraz będzie jechał pociąg!” On od razu zrozumiał, co trzeba robić... Była wtedy już prawie godzina trzecia po południu...

Emeryt Józef Paprocki, 70 lat:

— Jan Sobień został przy tunelu, a ja na rower i do budki na Turystyczną. Trochę jechałem na rowerze, a trochę go prowadziłem. Może tak po dziesięciu minutach zobaczyłem pociąg jadący w kierunku tunelu. Zacząłem

machać rękami, żeby stanął, żeby nie jechał dalej. Maszynista nawet mnie widział, ale chyba nie zrozumiał i pojechał. Wtedy to już liczyłem tylko na Sobienia, że zdąży zatrzymać pociąg przed tunelem...

Paprocki postanowił jednak dotrzeć do budki rozjazdowej. Pracownik kolei popatrzył na niego podejrzliwie i wypowiadając tekst mniej więcej jak z Mroźka: „Szyny, mówicie, rozkręcone... Może i rozkręcone. Ale czemu, obywatelu, tak późno powiadamlacie, co?”

Sobień:

— Kiedy zobaczyłem pociąg, od razu wiedziałem, że Paprocki nie dał go ra-

dy zatrzymać. Zacząłem machać ręką i teczka, którą miałem w drugiej. Krzychałem: „Ludzie stojcie! Zatrzymajcie się, bo będzie katastrofa!” Jakież sto merów przede mną pociąg zaczął hamować. Zatrzymał się na trzydzieści metrów przed tunelem i może czterdzieści od tej rozkręconej szyny. Wychylił się maszynista i pyta, dlaczego tak krzyczę. Ze mnie już nerwy wyszły i nie miałem siły tłumaczyć. Mówię tylko: „Chodźcie ludzie, sami zobaczcie”, bo i wyszedł już pomocnik maszynisty, młodszy od niego.

Kolejarze z Janem Sobieniem, świecąc sobie latarką, weszli do tunelu. Popatrzyli na miejsce rozkręcenia szyn. Młodszy, Witold Swiderski, był blady jak ściana i nie nie mówił. Wreszcie wykrztusił: „Boże, mam troje dzieci. Mogłem do nich nie wrócić...”

Na miejsce przybyli już funkcjonariusze Komisariatu Kolejowego MO. Efekt ich pracy zawarł się w dwustronicowym meldunku. Krótko, rzeczowo. Bez emocji.

„[...] O 15.20 zatrzymano pociąg tran-



Fot. Archiwum KWMO — Lublin

zytowy Nr 12083 relacji Siedlce-Swidnik. Zatrzymanie nastąpiło na km 0,670 linii PKP Ządziele-Dampol, w odległości 35 m od miejsca rozkręcenia złącza szyn, pod wiaduktem obwodnicy. Wykręcono 18 śrub mocujących stopkę lewej szyny. Szyna ta została podwyższona przez podłożenie śrub i kamieni, a następnie przesunięta na odległość główki szyny, w kierunku osi toru, na odcinku 13 m, tj. 18 podkładów. Zablockowano równocześnie możliwość powrotu szyny do położenia pierwotnego, poprzez wsunięcie między stopkę, a szynę łącznika i śruby. W tłumieniu, obok ściany wiaduktu znaleziono wykręcone śruby i nakrętki [...]

Ekipa KW MO, która przybędzie nieco później, dokona dokładnej dokumentacji miejsca zdarzenia. Zdjęcia, szkice itd.

W tym miejscu warto jeszcze odnotować, że skład pociągu zatrzymanego przed tunelem liczył 22 wagony o tonażu 1736 t z lokomotywą spalinową. Wiózł żwir.

Dyrektor Janusz Bućko:

— Proszę pana, konsekwencje ewentualnej katastrofy byłyby dość łatwe do przewidzenia. Brama tunelu zostałaby rozwalona, następnie runęła mogłoby cały strop. A górą przechodzi linia kolejowa Lublin—Chełm. Nastąpiłoby wyłączenie tej linii z ruchu kolejowego, przynajmniej na kilkanaście godzin, a może nawet na kilka dni. Straty materialne szłyby w miliony. Nie mówię o tragedii ludzkiej, o śmierci załogi lokomotywy, bo to jest brutalnie oczywiste i w całej sprawie najważniejsze.

SŁUŻBY KW MO pracowały na pełnych obrotach. Cechą szczególną czynu wydała się od razu duża znajomość rzeczy z jaką demonstrowano tor kolejowy. Musiał to robić ktoś, kto z koleją miał do czynienia. Powstała wówczas hipoteza robocza: „sabotaż”. Jednocześnie, dzięki obserwacjom Honoraty Skiby, mieszkającej w pobliżu miejsca zdarzenia, działano w innym kierunku...

Zauważyła ona, że w godzinach przedpołudniowych na torach bawilo się trzech chłopców. Wiek dwóch z nich określiła na 11-12 lat a trzeciego na około ośmiu. Opisała też z dużą do-



Apchuk



Dwichuk



Baldung



Balnall

Teraz bloki, czyli obrona. Dzielą się one według wysokości, na jakiej są wykonywane (inaczej: zakładane). A więc:

- Area (are) = od pasa w dół
- Montog = od pasa do podstawy szyi
- Eoigul (oigul) = szyja i głowa

Taki podział jest najbardziej podstawowy. Bardziej precyzyjne określają jeszcze, z której strony nadchodzi uderzenie, jaką częścią ciała oraz jaką jest bronione. Nam wystarczy wiedzieć, że np. Montog makki oznacza blok na wysokości klatki piersiowej.

Uderzenia nogami (kopnięcia). Noszą one ogólną nazwę czagi (czagi). Ich podział jest bardziej skomplikowany niż ciosów. Dzielą się bowiem ze względu na kierunek uderzenia, pozycję, z jakiej spada na przeciwnika kopnięcie, oraz oczywiście część stopy, którą zostają zadane.

Zacznijmy od ułożenia stopy w uderzeniu. I tak:

- Apchuk (apczuk) = przy podwiniętych palcach (w przód)
- Dwichuk (duiczuk) = podeszwą (w tył)
- Dwikumchi (duikumczli) = piętą (w tył)
- Baldung = grzbietem stopy
- Balnal = kantem stopy

Ze względu na kierunek kopnięcia wyróżniamy następujące podstawowe ich rodzaje:

- Ap chagi = w przód
- Yop chagi (jop czagi) = w bok
- Dwit chagi (duit czagi) = w tył
- Dolyo chagi (dolio czagi) = po łuku w przód

— Naoryo chagi (nerio czagi) = z góry w dół

Techniki kopnięć mogą być wykonywane w wersji podstawowej, czyli z miejsca, po obrocie ciała (Tituto, Bando — na określenie takiej sytuacji) oraz po obrocie ciała w wysoku (odpowiednio Timo, Twio). Podane w nawiasach nazwy stosuje się zamiennie.

Nazwy poszczególnych uderzeń nogą budowane są analogicznie do nazw ciosów ręcznych. Najlepiej zilustruje to następujący przykład. Założmy, iż chcemy wykonać kopnięcie w bok. W wersji podstawowej, czyli z miejsca, nazwa brzmieć będzie Yop chagi. To samo, po obrocie ciała — Tituro Yop chagi. Zaś w przypadku wysoku i uderzenia po obrocie — Timo Tituro Yop chagi.

W defensywie technik nożnych blokowanie odbywa się stopą, podudziem lub kolaniem. W budowaniu nazw bloków uwzględnia się oczywiście wszystkie elementy, czyli kierunek uderzenia, część ciała, jaką jest zadawane, i część nogi, którą wykonuje się blok. Dla przykładu blok kolaniem nosi nazwę Murup makki.

Ten krótki zarys techniki służyć ma jedynie orientacji ogólnej. W walce, czy podczas pokazu elementy ataku i obrony przeplatają się ze sobą, są wykonywane seriami. Niekiedy obrona i atak wykonywane są niemal równocześnie, co jest bardzo widowiskowe, ale wymaga lat ćwiczeń.

WTKD, podobnie jak w innych stylach walk wschodnich, poziom umiejętności określany jest przy pomocy stopni. Każdemu stopniowi

odpowiada kolor pasa zakładanego na strój (dobok). Stopnie dzielą się na szkoleniowe (Kup) i mistrzowskie (Dan). Pierwszych jest dziesięć, liczonych od 10 w dół. Dany przyznawane są również w skali 10-stopniowej, z tym że w porządku wzrastającym, od 1 do 10. Na poszczególne stopnie szkoleniowe i mistrzowskie do 6 Dana włącznie obowiązuje wykonanie określonych układów technicznych oraz wiedza teoretyczna. Od 7 Dana wwyż stopnie przyznawane są za wkład w rozwój tej sztuki (tworzenie nowych układów, dorobek szkoleniowy, popularyzatorski itd.).

Posiadaczem najwyższego stopnia wtaimnienia jest prezydent WTF Un Yeong Kim, któremu nadano 10 Dan. Szef opozycyjnego wobec tej federacji IFT generał Choi Hong Hi (ma „tylko” 9 Dana, co ma podkreślać głoszoną przez siebie prawdę, że szczyt wiedzy w TKD nie istnieje i można się doń tylko przybliżać).

Obie federacje mają różniące się nieco style walki, różniące się nomenklaturą techniczną oraz inne zasady walki sportowej. Tutaj posługujemy się nomenklaturą WTF, nie dlatego, że tę federację chcemy wyróżniać. Po prostu łatwiej jest o zdobycie pozycji WTF-owskich, bowiem w Europie federacja ta jest silniejsza (np. w strefie niemieckojęzycznej bardzo popularny jest „Ilustriertes Handbuch des Taekwon-do” Konstantina Gilla, posiadacza 5 Dana).

Obiektywnie rzecz biorąc, zasadnicza różnica między stylami obu federacji polega na tym, że ITF kładzie więk-

szy nacisk na aspekt TKD jako sztuki walki i samoobrony, a mniej na jego stronę sportową. Wydaje mi się, że właśnie pewne niedocenywanie walorów rywalizacji bezpośredniej, bliskich bardzo kulturze europejskiej, sprawiło, że większą popularność zdobyła na Starym Kontynencie WTF. Podobne zresztą zastrzeżenie można uczynić w odniesieniu także do krajów tzw. Trzeciego Świata, w których rywalizacja sportowa jest drogą także społecznego awansu.

JAK wygląda system walki (zawodów sportowych) w obu organizacjach? W ITF walka jest jednorundowa i trwa 2 minuty. Taki czas, zdaloby się krótki, wiąże się z poglądem, że skoro walka sportowa ma imitować walkę realną, to koncentracja psychiczna i fizyczna na jej wyniku musi być maksymalna. I to ma zapewnić krótki czas starcia. Chodzi po prostu, aby zawodnicy „szli na całego”, bez kalkulacji i „odkładania” sił na później. W WTF walka trwa, tak jak w boksie, trzy rundy po trzy minuty, z minutowymi przerwami. Argumenty za takim rozwiązaniem podawane są takie, że i tak starcie sportowe nigdy nie będzie „obrazem” realnego zagrożenia życia w rzeczywistej walce na śmierć i życie. Skoro imitacja jest niepełna, to niech przynajmniej będzie pełniejsza w wymiarze techniczno-taktycznym. Przez 9 minut, argumentuje się, walczący mogą pokazać więcej technik i dać lepszy obraz umiejętności. W krótkiej walce

Dokończenie na str. 10

kładnością ich wygląd, a przede wszystkim ubiór. Jednakowe ubrania dwóch starszych nasunęły jej myśl, iż mogą to być bracia. Pracownicy KW MO ocenili informacje ze jako szczególnie ważne, a zdolności obserwacyjne Honoraty Skiby jako wyjątkowo rzadko spotykane u świadków. Sama zaś kobieta jest także matką i obecność w tym rejonie, na dodatek w porze lekcyjnej, nieznaną jej dzieci po prostu wzbudziła jej ciekawość. Do tego jeszcze wrócimy.

A na razie... A na razie w Domu Dziecka przy ulicy Klonowicza 1 w Lublinie jest kilkanaście minut po piętnastej i trzej wychowankowie: 13-letni bliźniacy Jurek i Edek Górowie oraz dziesięcioletni Kazio Wielina zasiadają do obiadu po przyjściu ze szkoły. Bardzo się śpieszyli, żeby zdążyć na obiad. Humory im dopisują.

NASTĘPNEGO dnia, 4 listopada br., maszynista elektrowozu Nr ET 2-255, jadąc obwodnicą w rejonie Dworca Północnego, dostrzegł ułożoną na szynie tzw. łupkę (najprościej rzecz nazywając: kawał żelaza). Hamuje w porę. Jest godzina 12.35. Miejsce dokładnie to samo, co wczoraj. Na miejsce przybywa milicja, jednocześnie zablokowany zostaje teren okoliczny. Pół godziny później zatrzymani zostają w tym rejonie Jurek i Edek Górowie.

Twierdzą, że udali się na wagary. Ich rysopis zbyt dokładnie odpowiada jednak chłopcom widzianym przez Honoratę Skibę. W końcu jeden z nich przyznaje się...

— Rano, 3 listopada, postanowiliśmy nie iść do szkoły, tylko pójść na ulicę Melgiewską, zobaczyć, co jest w kanale, z którego wydobywa się para. Poszliśmy z bratem Edkiem i zabrali ze sobą Kazika Wielinę. Szliśmy w stronę Świdnika koło torów i Edek zobaczył klucz długości pół metra. Wzięliśmy go i nieśli na zmianę w stronę Świdnika. Doszliśmy do tunelu i Edek wpadł na pomysł, żeby spróbować, czy da się tym kluczem, cośmy go znaleźli, odkręcić śruby przy szynach. Nawet łatwo się dało. Robiliśmy to na zmianę. Kazio znalazł koło szyny rękawicę i w nich odkręcał, bo mu było wygodnie.

Jak zobaczyliśmy, że niedaleko stoi jakaś kobieta, to szybko uciekliśmy...

Potem jednak chłopcy wracają i kręcą dalej. Odkręcają sześć śrub, podnoszą nieco szynę i trochę odsuwają. Jedzie właśnie pociąg gospodarczy Nr G-13 ciągnący wagony-łodówki z pobliskiej chłodni składowej. Jurek, Edzio i Kazio siedzą schowani w pobliżu wylotu tunelu i czekają, co będzie. Jest 12.46. Pociąg wyjeżdża bez szwanku. Po prostu siła sprężystości szyny wpechnęła ją na swoje miejsce. Bardzo to chłopaków denerwuje. Wracają do tunelu.

Kazio: — Ponieważ się nie wywróciła lokomotywa z lodówkami, Jurek powiedział, że dalej będziemy rozkręcać, bo za pół godziny będzie jechał pociąg osobowy [Jurek konfabulował, bo pociąg osobowy akurat obwodnicą nie jeżdżą — przyp. autora]. Jurek mówił, że trzeba odkręcić nakrętki na całej szynie, to się wtedy nie naprostuje, i że trzeba ją bardziej odsunąć, bo inaczej koła nie spadną. No i tak zrobiliśmy i zablokowaliśmy takim łącznikiem szyn, żeby się nie naprostowało. Czekaliśmy w pobliżu tunelu pół godziny, ale pociąg nie przyjechał. Poszliśmy w końcu w stronę dworca. Jurek chwalił się, że rok temu już raz wykościł lokomotywę w Wąwolnicy...

Ostatni fragment wyznań Kazia milicja sprawdziła. 5 sierpnia 1981 roku o godzinie 21.30 pociąg Kolei Dojazdowej (popularnej wąskotorówki) Nr 285 na kilometrze 11,430 trasy Karczmiska-Wilków, w okolicy Wąwolnicy, został zatrzymany, po... najechaniu na leżące na szynach betonowe podkłady kolejowe. Sprawców nie wykryto.

Edzio: — Poszliśmy na przystanek i autobusem nr 34 wróciliśmy do domu. Wróciliśmy na obiad, bo jeść się chciało...

Jurek: — Następnego dnia z bratem wróciliśmy w to miejsce. Położyliśmy na szynach łupkę. Potem poszliśmy i wzięliśmy klucz, który zakopaliśmy w piachu koło tunelu i wrzuciliśmy go do kanału, z którego leciała para. Potem poszliśmy do stodoły niedaleko od torów i zabrali siekiere. No i potem na Melgiewskiej nas złapali...

Zapytani, po co im była siekiera, bracia odpowiedzieli, że jak ostatnio byli w domu, to się matka skarżyła, że nie ma czym drzewa urąbać. No to wzięli.

Po zatrzymaniu chłopców, na krótko zresztą, i rozmowach z nimi, wiele spraw zaczęło układać się w pewien związek przyczynowo-skutkowy. Jurek i Edek do ubiegłego roku mieszkali z rodzicami w Starościcach. Ojciec pracował na kolei, przy konserwacji szyn. Podpatrywali go czasem przy robocie i stąd się wzięła, rzucająca się w oczy, „fachowość” demontażu szyn. Ojciec zmarł, a bracia trafili do Domu Dziecka w Lublinie. Kłopoty z nimi były zawsze. Nie chcieli się uczyć (powtarzali V klasę), chuliganili, rozrabiali. Brakowało im po prostu opieki i prawdziwego domu. Dziś wychowawcy z Domu Dziecka piszą o nich tak: „Sklonności do ciągłych ucieczek. Złośliwe niszczenie mienia społecznego (przecinanie kabli elektrycznych, niszczenie gniazdek i kontaktów, wybijanie szyb). Maniakie gromadzenie urządzeń elektrycznych z niewiadomych źródeł. Do szkoły nie chodzą”. Ponadto dowiadujemy się, że wielokrotnie uciekali w Polskę; do Warszawy, Tarnobrzega, Chełma Krzczonowa, Wąwolnicy. Od początku roku szkolnego Jurek był w szkole... trzy razy, a Edek — sześć.

Kazio natomiast mieszka na Lemszczyźnie, to znaczy mieszkał, nim rodzicom nie ograniczono władzy rodzicielskiej. Ojciec jest zegarmistrzem, ale pracuje z rzadka i niechętnie, matka jest kucharką w jednej z lubelskich restauracji. Kazio ma dwie starsze siostry w wieku 17 i 13 lat.

Rodziny, zarówno Jurka i Edka, jak i Kazia, są rozbite i stanowią bardzo konkretne zagrożenie patogenne. Dlatego chłopców skierowano do Domu Dziecka. Teraz zanosi się, że bliźniacy trafią do „poprawczaka”. Smiem twierdzić, że przy ich rozwoju psychicznym i intelektualnym, przy stopniu rozwoju norm dobra i zła, przy ich odporności emocjonalnej, będzie to najkrótsza droga do tego, aby w wieku lat, powiedzmy, osiemnastu trafili do kryminału. Kto w ich sprawie zawinił? Rodzina? Szkoła? Środowisko rówieś-

nicze? Nie wiem. Pewnie wszyscy. Mam jednak wątpliwości. Dość konkretne. Jak może dochodzić do sytuacji, że bliźniacy odwiedzili szkołę nr 12 zaledwie kilka razy, a zarówno wychowawcy w szkole, jak i wychowawcy w Domu Dziecka pozostali wobec tego faktu bezradni. Dotyczy to zwłaszcza opiekunów z ulicy Klonowicza 1. Czy nie zbyt łatwo pisze się wam: „Nie chodzi — do szkoły?”

Tyle dydaktyki.

Finalem sprawy, tak pomyślnie dzięki przytomności Jana Sobienia i Józefa Paprockiego zakończona, była uroczystość w lubelskiej DOKP. Oba emeryci otrzymali Odznaki „Zasłużony dla transportu PRL” przyznane przez ministra komunikacji, dyplomy i nagrody pieniężne od dyrektora Janusza Bućki, honorowe adresy i Medale 666-lecia Lublina od władz miasta, a także zapowiedź wystąpienia do MRN o nadanie Odznak „Zasłużony dla Miasta Lublina”. Złoty. Były słowa podziękia, herbata i ciastka oraz kwiaty.

EPILOG. Wariant I. Zjemy w rozhuśtanym emocjonalnie czasach. Wydarzenie na obwodnicy, na kilometrze 0.670, budziło różne komentarze, plotki i insynuacje. Moim skromnym zdaniem, nie była to jednak robota CIA. Nawiasem mówiąc, w KW MO również wersja: „sabotaż” szybko upadła.

Epilog. Wariant II. 5 listopada odwiedził chłopaków w Domu Dziecka ich kolega, wychowanek tej instytucji. Marek T., lat 16, napominał ich srogo. Za karygodną głupotę. Bo, po pierwsze, szynę najlepiej rozkręca się nocą, czego uczył doświadczenia partyzantki z lat 1942-44 zwłaszcza. Po drugie trzeba wykolejać pociąg z wagonami pocztowymi, bo nie jest wykluczone, że tam się wozi forsa. Można by wówczas połączyć przyjemne z pożytecznym.

To wszystko. Waldemar Piasecki PS. Nazwiska chłopców zostały zmienione.

TAEKWON-DO sztuka walki sztuka życia

Dokończenie ze str. 9

Jest większa możliwość dla przypadkowych sytuacji, które mogą wazyć na wyniku (np. zaskakujący cios słabszego teoretycznie przeciwnika). Skoro ma się liczyć sztuka, to niech ma ona czas na rozwinięcie się.

W tym dialogu warto zastanowić się przez chwilę nad ciekawym casusem podanym przez teoretyka i mistrza Karate Kenji Tokitsu (za „Forum” nr 23, na podstawie przedruku z „Le Nouvel Observateur”), a dotyczący różnicy walki rzeczywistej i sportowej: „... jeśli zadaje się mieczem cięcie w głowę, a przeciwnik uchylił się, nadstawiając kark, zdobywa punkty. Ale tego rodzaju technika uniku nie miałaby najmniejszego sensu w prawdziwej walce. Sport zmienia sens zwycięstwa i śmierci”. Pozostawiam ów cytat bez komentarza.

Jak się walczy sportowo w TKD? I znów różnice. W WTF zawodnik ma na sobie specjalny ochraniacz-kamiszelkę (hogo), zabezpieczający tułów i genitalia. Dłonie i stopy są gołe. Wolno atakować rękami i nogami z pełną siłą (tzw. full contact = pełny kontakt), ale nie wolno atakować ręką głowy. Nie wolno podcinać. Możliwe są nokauty, po wylczeniu do dziesięciu. Zasadniczy argument „za” jest następujący: przy pełnej kontaktowości TKD staje się czytelniejsze, bardziej zrozumiałe i logiczne dla walczących i oglądających. Nie ma udawania, a liczy się konkretny w postaci kilkusetkilowego ciosu, czy kopnięcia. Również sędziowanie jest tu ułatwione i raczej wolne od subiektywizmu ocen, jak w przypadkach symulacji uderzenia. W ITF ochraniacze zakłada się na stopy i dłonie, co ma za cel osłabienie siły ciosów. Uderzenia muszą być — istotnie!!! — kontrolowane. Dopuszczalny jest atak ręką i nogą na głowę. Dozwolone są podcięcia. Wybór takiej drogi walki uzasadnia się tym, że walczący musi zawsze panować nad swoją techniką i siłą; umieć je dozować i kontrolować. Wymaga to znacznie wyższych — jak mówią zwolennicy ITF — umiejętności, niż walenie na całego. Znacznie naturalniejsze jest też — jak utrzymują — dopuszczenie uderzeń na głowę i podcięć. Zgoda, że wymaga od broniącego się większego refleksu i umiejętności w ogóle. Ale przecież o to chodzi. Tak mówią zwolennicy półkontaktu (semi contact)...

Oprócz semi contact'u w ITF rozgrywa się zawody w wykonywaniu układów technicznych (Hyong), oceniając kolejność ruchów, precyzję i tempo wykonania. Są także zawody w tzw. technikach specjalnych (najczęściej Kyokpa = rozbitcia), ogromnie widowiskowe i przemawiające do wyobraźni.

Przed którym stylem jest większa przyszłość? Oczywiście rozstrzygnięcie nie do autora tego tekstu należy, a raczej już do Czytelników i... Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Oba style domagają się bowiem od MKOI-u akceptacji TKD, ale jedynie wg swoich zasad. Walka idzie ostra. Dlaczego? Dlatego, że w 1988 roku Seul będzie gospodarzem kolejnej Olimpiady. Przywilej gospodarza pozwała na rekomendowanie do programu letniskowej dyscypliny (vide: wprowadzenie judo na Olimpiadę w Tokio). Koreańczycy zrobili ów „ruch” już w Moskwie (1980). Do dziś ostatecznej decyzji nie ma, choć miała zapas w br. podczas posiedzenia MKOI w Baden-Baden. Nastąpi to najprawdopodobniej jeszcze w tym roku. Decyzja zależy, ale jeśli będzie pozytywna, jak wybrnąć z istniejących kontrowersji i antagonizmów WTF i ITF? Który styl uznać za godny Olimpiady? A może pójść na kompromis? Na te pytania muszą się znaleźć odpowiedzi.

JAKI jest stan „zorganizowania” TKD w świecie? Według WTF, ćwiczone jest w 108 krajach świata przez 21 milionów ludzi, co gdyby się okazało prawdą, byłoby zjawiskiem wręcz niezwykłym. Do potencjalnie należą Korea Południowa, RFN, USA, Meksyk (jeśli idzie o WTF) oraz Kanada, Wielka Brytania i doganiająca je KRLD (w ITF). Kto jest lepszy? Wydaje się, że... nikt. Obie federacje powinny się czym prędzej dogadać, porzuciwszy uprzedzenia, animozje i

podejrzenia. Dla dobra TAEKWON-DO. Miejmy nadzieję decyzje MKOI ów proces zbliżenia znacznie przyspieszą.

Krótko o zasadniczych różnicach technicznych między TKD, a na początek, Karate. W TKD pozycja walki jest niemal wyprostowana, natomiast w Karate niższa. W TKD zawodnicy są w ciągłym ruchu i nieustannie zmieniają kierunki poruszania, w Karate pozycja jest bardziej statyczna. Różnice owe są dobrze widoczne, jeśli walczy karateka z taekwondeką. Ponadto, w TKD przeważa technika nożnych. Jeśli chodzi o Kung-fu dominuje pozycja niska i serie technik ręcznych wyprowadzanych w ruchu (większym niż w Karate). Są to rzecz jasna absolutne podstawy, bez zagłębiania się w subtelności.

Przy tej okazji warta wyjaśnienia jest sprawa stylu słynnego Bruce Lee. Najogólniej rzecz biorąc, techniki ręczne jego własnego stylu Jeet Kune Do wzięte są w większości z Kung-fu, natomiast nożna z TKD. Nauczycielem sztuki TKD, którą Bruce Lee trenował, był słynny Jhoon Rhee, posiadacz 8 Dana i właściciel renomowanej szkoły w USA.

PORA na przejście do zagadnienia TKD jako sztuki życia, stylu życia. Literatura w tym względzie (przede wszystkim w prasie tygodniowej) jest znacznie u nas bogatsza, niż w odniesieniu do spraw historyczno-rodowodowych TKD i techniczno-sportowych. Stąd ograniczymy się do stwierdzeń podstawowych.

Ludzie od najdawniejszych czasów szukali sposobów naturalnego wzbogacenia psychiki i jej możliwości. Najbardziej znaną sztuką tego typu jest Zen, z jej odmianami. O ile Zen utożsamia się z medytacją w bezruchu ciała, o tyle sztuka walki Wschodu są rozwinięciem Zen w postaci ruchu. Tu kluczowym momentem jest zdolność wyzwalania z organizmu paranoi i dyspozycji fizycznych, siły, zręczności. Organizm posiada w tej materii duże rezerwy, wyzwalane tylko w sytuacjach zagrożenia (np. uciekający przeskakuje bardzo wysoką przeszkodę, czego normalnie by nie dokonał, rzuca dużymi ciężarami na znaczną odległość). Ćwiczenia sztuk walki mają za cel doprowadzenie do świadomego i kontrolowanego wyzwalania tej „siły utajonej”, energii wewnętrznej.

Zasadniczymi elementami treningu TKD jest dyscyplina i samodyscyplina. Podczas ćwiczeń i formowych podporządkowanie mistrzowi oraz podporządkowanie rywalowi w ćwiczeniach własnych i płynących stąd ograniczeń (np. abstynencji). Ta właśnie pokora jest jedną drogą do kształcenia i rozwijania energii wewnętrznej. Aspekt fizycznej sprawności jest w takim ujęciu jakby mniej ważny.

Same również zasady nauczania TKD kładą nacisk na perfekcjonizm. Nigdy ewoluując nie zaczęły wykonywać układów i technik bardziej skomplikowanych, jeśli nie opanuje mniej trudnych. Sprawia to, że sukcesy przychodzą po latach żmudnych ćwiczeń. To zniechęca wielu. Bardzo wielu. Normalną regułą jest, że po pierwszym roku szkolenia odpada ok. 90 procent zaczynających. Stanowi to skuteczną barierę dla tych, którzy chcieliby umiejętności TKD stosować np. na ulicy, czy wiejskiej zabawie.

Zaawansowani taekwondocy są zazwyczaj ludźmi wielkiego spokoju i opanowania. Prowokowani do ujawnienia swoich możliwości unikają tego i jedynie w sytuacji istotnego zagrożenia życia decydują się na ich wykorzystanie. Rzadziej popadają w nerwice, posiadają znacznie większe umiejętności samoorganizacji psychicznej. Potwierdzają to badania przeprowadzone m.in. w USA, Kanadzie, a w odniesieniu do Karate w Japonii.

Najbardziej czytelny związek TKD z filozofią występuje w ćwiczeniach formalnych Hyong (wg ITF) i Poomse (wg WTF). Wiele z nich związanych jest z walkami z kilkoma przeciwnikami, istniejącymi tylko w imaginacji ćwiczącego i których nigdy nie da się pokonać.

W tym miejscu można przytoczyć opowieść o starym mistrzu, który przez kilkadziesiąt lat ćwiczył się w sztuce walki ze smokami (oczywiście w imaginacji) i na krótko przed śmiercią stwierdził, że jest mistrzem we wszystkich dziedzinach.

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaj i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Zyciorosy” popularnych roślin ziołowych publikujemy na pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawalko pt. „Historie ziołowe”, która w roku 1983 ukazała się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Kolendra siewna

Marian Janusz Kawalko

KIEDY niemiecki profesor medycyny i farmacji, Georg Ebers, stał się posiadaczem wiekowego, egipskiego papiirusu, nie znalazł jeszcze rzeczywistej jego wartości. Dopiero po rozszyfrowaniu zapisów, umieszczonych na tym zwoju, okazało się, iż jest to najstarsze zbiorowe dzieło lekarskie starożytnego Egiptu. Papiirus ten, znany powszechnie w świecie naukowym jako „papiirus Ebersa”, powstał około 1550 roku p.n.e. i prawdopodobnie był odpisem tekstów starszych o około 10 wieków. Obok licznych metod leczenia, zabytek ów zawierał również spisy znacznej liczby roślin lub surowców roślinnych o działaniu uzdrawiającym. W wykazach tych — obok porzeczycy, kminku (rzymskiego?), szafranu, tymianku, piołunu — wzmiankowano także o roślinie „unshi”, przy czym rozróżniano miejscowe oraz azjatyckie jej odmiany.

Zioło to utożsamia się powoli z kolendrą siewną (*Coriandrum sativum* L.). W starożytnym Egipcie kolendra wchodziła m.in. do napojów piw-

nego, który zażywano przy biegłości egipskiej; była jednym ze składników mazi, służącej do nacierania bólejącej głowy (jako nośnika używano osłego tłuszczu), plastra zmniejszającego podskórne stwardnienia oraz plastra na uelastycznienie mięśni.

W zapisach hieroglificznych, uznawanych za najstarszy obrazkowy alfabet egipski (około 2500 lat p.n.e.), znaleziono informacje że nasiona rośliny stanowiły podówczas jeden ze składników odurzającego wina. Przekazy o narkotycznych właściwościach zioła będą odąd powielane wielokrotnie w późniejszych czasach.

Rzymianin Marcus Terentius Varro (116–16 r. p.n.e.), wielki uczony, autor cennego dzieła pt. „De re rustica”, pisał trafnie o konserwującym wpływie octu zaprawionego kolendrą na mięso. Sensacyjność tej informacji widzę w... ciągłej jej aktualności. Dziś wiadomo, że owoce *Coriandrum sativum* same w sobie są szczególnie utrwalaaczem surowców i przetworów mięsnych.

KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI

Wiersze na trudne czasy

W ZAMIESZCZONYM na obwołanie tomu przesłaniu Zygmunt Mikulski wyznaje, iż proponuje czytelnikowi lekturę wierszy „niewspółczesnych” — rymowanych, pozbawionych odwołań do codzienności, podnoszących do najwyższej potęgi urodę drobiazgów: kwiatu, ptaka, jesienu.

Zdaje się jednak, iż dzisiaj tyle samo poetów rymuje, co i nie, oraz tyle samo mamy artystów wyczulonych na przekazy rzeczywistości, co i „egocentryków”.

Mikulskiego spośród obecnie tworzących wyróżnia wcale nie schemat wersyfikacyjny, nie swoisty egocentryzm, ale głęboki optymizm jego utworów, ich pogoda.

Są to wiersze mówiące o urodzie świata wyciszonego i ułagodzonego.

Opisuje więc uroki wiosny (nie bojąc się ani słów, ani motywów „zużytych”, np. słowika i róży), dojrzalą krąśną jesienu i wdzięk jesiennej szarugi, piękne zabawy zimowe. Rzecz charakterystyczna: dla Mikulskiego jakby nie było lata. Wiersze poświęcone tej porze roku (stanowiące zresztą marginalia zbioru) są stosunkowo najmniej barwne, najmniej ciekawe.

Szczególną wrażliwość na wdzięk jesienu przejął Mikulski w spadku po wielkim Francuzie i po polskich wielbicielach Verlaine'a, Stanisławie Korabie Brzozowskim, przy Leopoldzie Staffie. I Mikulskiemu również chodzi przede wszystkim o odtworzenie nastroju chwili, czyli owego wdzięku świata — istniejącego przez oka mgwini.

W zimowych wierszach poety pojawiają się motywy charakterystyczne dla rosyjskich i cygańskich romansów, więc sanna, kabała, motyw gry w karty.

W tej poezji ciekawe zdaje się być połączenie postmodernistycznej nostalgii z postvithmanowskim przeświadczeniem, iż świat człowiekowi sprzyja. Odnajdujemy w zbiorze wiersze pełne żywiołowej, hałaśliwej radości — tego

więc, co określało twórczość młodego Wierzyńskiego.

Trzeba tu jednak zaznaczyć, iż Mikulski jest kontynuatorem a nie nasładowcą. Nie tworzy pastiszów, a jedynie sygnalizuje, iż i jemu są bliskie stany psychiczne, czy doświadczenia wielkich poprzedników.

Jest udanym kontynuatorem tropu, jaki zaproponował w swej liryce Galczyński. Z dużym kunsztem i sporą przy tym odwagą wykorzystuje motywy usankcjonowane w naszej poezji przez pióro autora *Niobe*: koleżki, muzykę, gwiazdy, księżyc, grę światła. Obok nastrojowych, pisze Mikulski również utwory żartobliwe. Należy to podkreślić, ponieważ rzadko kto dzisiaj przyznaje się do poczucia humoru.

W twórczości artysty brak kolokwializmów, słownictwa gazetowego, niewiele zawdzięczają także naszej codzienności.

Za to przenosi nas poeta w światy, które można oglądać tylko raz i tylko przez moment. Skoro poezja może być i „pięknym przedstawieniem rzeczy”, cieszymy się, że istnieje poeta, który pozwala nam wierzyć, że gdzieś, kiedyś istniały naprawdę:

Ogrody ciemne, pełne róż i błysków,
Wenecja śniegu zastuchana w gwiazdy.
Sarna z pocztówek i gałązki w pysku
i wzgórza wyciągnięte, jak sanie do
jazdy.
(Czekanie)

Nieczesto zdarzają się wiersze, które można czytać dla przyjemności, które nie porażają i nie przerażają. W naszych specyficznych czasach są one zdecydowanie potrzebne; pozwalają wierzyć, iż także i do nas — zahakanych, pogrążonych w mroku, zmęczonych — przyjdzie jeszcze kiedyś pogoda.

Dorota Chrościelewska

Zygmunt Mikulski: *Do rymu*. Wydawnictwo Lubelskie, 1982.

Na polskich ziemiach w latach pięćdziesiątych XVI stulecia cukrowane lub miodowane ziarenka kolendry, czyli „polskiego pieprzu”, były dość powszechnie stosowanym ludowym środkiem nasennym dla dzieci. W XVII-wiecznej kuchni kolendra, łącznie z lubczykiem, pieprzem i rutą, przydawała niekiedy smaku duszonym grzybom. Taka mieszanka przyprawowa miała nadto zachowywać uczujących od zatruc pokarmowych. Z „bdlami” nie ma żartów — wiedzieli o tym już starożytni.

W wieku XVII owoce „polskiego pieprzu” stanowiły jeden ze składników tak zwanej szybkiej zalewy marynującej, której podstawą był ocet winny. Choć zaprawa służyła zasadniczo do wstępnej uzdatniania dziczyzny lub wołowiny, to owe mięsa często również w niej gotowano.

Słynna książka kucharska Czernieckiego z 1682 r. zawiera co najmniej kilkanaście przepisów na potrawy i nalewki alkoholowe przyprawiane także — choć nie wyłącznie — owocami kolendry uprawnej. Z tego dość różnorodnego zestawu na uwagę zasługują między innymi:

- nóżki cielece gotowane w bulionie z dodatkiem ogrodowizn, przypraw południowych i ziół;
 - galareta dla chorych, sporządzana z bulionu dosmakowanego skórką cytrynową, cukrem, solą, nasionami kolendry i cynamonem oraz sklarowanego białkami i skorupkami z jaj;
 - desery zwane „śmietanami”, przygotowywane z mleka (uzupełnianego ewentualnym dodatkiem śmietany albo wina), które należało gotować z cynamonem, kolendrą i cytryną, dodając jako składnik wiążący — żółtka względnie całe jaja;
 - ratafie, czyli alkoholowe nalewki na pestkach z moreli lub zwykłych wiśni, przyprawiane dodatkowo cynamonem oraz kolendrą i osłodzone.
- To były poniekąd zalecenia teoretyczne, przynajmniej w odniesieniu do oświeceniowej kuchni polskiej. Za Łabą natomiast kolendra rzadko do potraw trafiała. Gdy ją importowano,

wówczas dodawano do kiełbas z rusztu, kapusty kwaszonej, chleba oraz serów twarogowych. Niemniej jednak głównie publikacje wymienionych autorów zyskały powszechniejszy szacunek, o czym świadczyła liczba wznowień. Można więc ogólnie, lecz ostrożnie, przyjąć, że właśnie na podstawie tych lektur kształtowały się jakościowe cechy naszej kuchni porzobiorowej. Niektóre z podręczników kulinarnych wznawiano nawet w okresie międzywojnia, co wypada uznać za precedens osobliwy.



Rys. Maria Tyzenhaus

Piwośze, smakując dubeltowe piwa angielskie i holenderskie, może nawet nie wiedzieli, że aromat tych napojów pochodzi od chmielu oraz... kolendry.

W szeregu polskich wydawnictw kulinarnych ubiegłego wieku (Jana Szytlera, Józefa Schmidta, Lucyny Cwierczakiewiczowej i innych) daleko częściej propagowane były przyprawy kolonialne niż ziola spożywcze. Zestaw tych ostatnich ograniczał się głównie do majeranku, estragonu, jałowca — i niekiedy — tymianku, rozmarynu oraz kminku. Opinia ta nie pretenduje do miana generalnej, chociażby z tego względu, iż w XIX stuleciu uka-

zało się wiele książek kucharskich dziś trudno osiągalnych. Niemniej jednak głównie publikacje wymienionych autorów zyskały powszechniejszy szacunek, o czym świadczyła liczba wznowień. Można więc ogólnie, lecz ostrożnie, przyjąć, że właśnie na podstawie tych lektur kształtowały się jakościowe cechy naszej kuchni porzobiorowej. Niektóre z podręczników kulinarnych wznawiano nawet w okresie międzywojnia, co wypada uznać za precedens osobliwy.

Jedynie M. Dissłowa zauważyła konserwując własności kolendry. Dodam, że obecność ziela w zalewie pozwala zmniejszyć, a nawet wyeliminować dodatek azotanu sodowego (saletry). Spostrzeżenie to warte jest szczególnej pamięci.

Według autorów wydanej niedawno w ZSRR książki pt. „Prianoaromatyczne rośliny w bytu” (Mińsk 1976) świeże ziele kolendry stosuje się do aromatyzowania mięsnych i warzywnych zup, smażonego mięsa, ryb, sałatek. „Przydaje ono potrawom specyficznego zapachu i posmaku, wzbogaca je w witaminy. [...] W domowej kuchni nasienie jest stosowane przy wyrobie kiełbas, do duszenia mięsa zwierząt rzeźnych oraz dziczyzny, marynowania ryb, przy wypieku bułeczek i placków, soleniu kapusty, sporządzaniu sosów, sera itd. Wchodzi ono również do różnych przypraw złożonych”. Popularność ziela jest największa w kuchni gruzińskiej, armeńskiej, azerskiej, uzbekiej i tadżyckiej. Spróbujmy na te ich osobliwe doświadczenia spojrzeć oczami Europejczyków, skłonnych zaakceptować nie tyle konkretne potrawy, ile kombinacje smakowo-zapachowe, które tworzy kolendra z innymi przyprawami:

- ziele kolendry, cząbr, pietruszki, kopru, mięty, papryka mielona, czosnek (zupy na wywarach z baraniny lub drobiu);
- ziele mięty, kolendry i kopru (zupy warzywno-ziemniaczane, z dodatkiem żółtkami, zupy na kwaśnym mleku);
- mielona papryka, kolendra, bazylija (duszone potrawy mięsno-warzywne);

- ziele i owoce kolendry, papryka mielona, szafran (niektóre sosy);
- kolendra, nać pietruszki, szczyplor (placki z kukurydzianej mąki — pieczone);
- nać kolendry, papryka (kotlety mielone z baraniny);
- nać kopru, kolendry i bazylii, pieprz mielony, goździki, ocet winny (marynaty mięsne);
- nać bazylii, kolendry, pietruszki i cząbr (potrawy z warzyw).

W Polsce produkuje się różne mieszanki przyprawowe z udziałem nasion kolendry. Są to: przyprawa typu „Barbecue”, „Chińska” typu „Curry”, „Gulaszowa” (producent: Kaliska Zakłady Koncentratów Spożywczych „Winiary”), a także różne gatunki pieprzu ziolowego oraz ziołowa przyprawa do drobiu (producent: Łódzkie Zakłady Zielarskie „Herbapol”).

Kolendra należy do rodziny Baldaszkowatych (Umbelliferae). Jest to zioło jednoroczne, o lodydze wzmiesionej, osiągające wzrost około 80 cm. W górnej części rozgałęzia się, a liście na tych rozgałęzieniach są różnokształtne — zawsze gładkie, lśniące, intensywnie zielone. Kolendra kwitnie przez część czerwca do połowy lipca, przy czym kwiaty jej są białe lub bladobiałe.

W Polsce i za granicą wykazano, że przedświecne, krótkotrwałe podgrzanie owoców do temperatury 60–80°C poprawia ich siłę kiełkowania oraz wpływa korzystnie na terminowość wschodów.

Trzeba tu podkreślić, iż zarówno wiosenna susza, jak również nadmierne ilości opadów, powodująca ubicie gleby, utrudniają wschody kolendry. Słowem — jest to gatunek dość trudny do uprawy. Działkowicze praktykują czasem wysiewanie nasion do skrzynek i przesadzanie młodych roślinek do przygotowanego gruntu (termin zabiegu — początek maja). Moje doświadczenia w tym zakresie określam jako zachęcające; postępowanie takie sprzyja szybszemu kwitnieniu i zawiązywaniu owoców.

KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI •

JEDNA z tych młodzieńczych lektur, które zrobiły kiedyś na mnie ogromne wrażenie, była książka Marii Kann „Pilotów?” — powieść o młodych polskich szybownikach, o ich przygodach podczas jednego z przedwojennych obozów szybowcowych. Książka — sławiąca piękno niezwykle modnego u nas w latach trzydziestych sportu, ale także opowiadająca o koleżeńskości, poświęceniu i upartym zdążaniu do celu. Dlatego z zainteresowaniem sięgnąłem po wydaną ostatnio książkę naszego lubelskiego kolegi-dziennikarza Tadeusza Chwałczyka pt. „Bieszczadzkie szybowiska”.

Tadeusz Chwałczyk od lat pracuje w Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia, stale widzimy go też na ekranie Lubelskiego Kuriera Telewizyjnego; mało osób wie natomiast o jego szybowcowych i lotniczych pasjach, chociaż niejedną raz znajdowały przecież one swoje odbicie w publikowanych przez Chwałczyka audycjach i artykułach. „Bieszczadzkie szybowiska” są jego pierwszą publikacją książkową i od razu przyjętą z zainteresowaniem; książka mignęła tylko w sklepach księgarskich mimo dwudziestotysięcznego nakładu.

„Nie zamierzam pisać historii latańia bezsilnikowego w Polsce — stwierdza autor we wstępie. — Temat ten wycinkowo jedynie — niejako „przy okazji”, wynikał z potrzeby przybliżenia, a tym samym lepszego zrozumienia rozwoju wydarzeń, związanych z losami dwóch największych kiedyś polskich szkół szybowcowych — w Bezmiechowej i Ustianowej. Inspiracją natomiast do powstania tego szkicu stały się wizyty, jakie złożyłem podczas wakacyjnych obozów młodym, a niezwykle zaangażowanym w reakty-

Miłość do szybowców

wowanie Bezmiechowej, członkom Studentycznego Koła Naukowego Lotników Politechniki Rzeszowskiej. Zainteresowała mnie przy tym zbieżność poczynań ludzi, których dzieli całe pokolenie, i pewna analogia zdarzeń, rozerwanych latami martwoży, kiedy to szybowisko, będące niegdyś synonimem najwyższego poziomu latańia bezsilnikowego, nazywane przecież ongiś „akademią”, wykreślone zostało z lotniczej mapy Polski”.

Już tych kilka zdań świadczy, że nie mamy do czynienia z publikacją określoną zazwyczaj mianem „popularnonaukowej”. Istotnie, „Bieszczadzkie szybowiska” — dając mnóstwo materiału historycznego na temat polskiego szybownictwa ze szczególnym uwzględnieniem Bieszczadów — są przecież przede wszystkim reportażem, relacją z wieloletnich wędrówek autora tropami ludzi i zdarzeń, wreszcie — mają swój wyraźnie zarysowany wymiar publicystyczny, tam gdzie Chwałczyk z uporem domaga się reaktywowania wspaniałych ongiś szybowisk w Bezmiechowej i Ustianowej, piętnując bezmyślność, bezduszność i niejednokrotnie wręcz złą wolę niektórych ludzi i instytucji. Przewija się też przez ten reportaż o zapomnianych bieszczadzskich szybowiskach, wątek osobisty — historia przypadkowego odkry-

cia przez kilkunastoletniego chłopca schowanych w Krośnie przed Niemcami szybowców i spotkania po wielu latach przez autora, już w wieku dojrzałym, człowieka, który te szybowce ukrył, a po wyzwoleniu oddał w ręce polskich władz.

Na kartach książki Tadeusza Chwałczyka odżywiają nazwiska szybowców, którymi przed wojną entuzjastycznie służyła polska młodzież: konstruktorów — Wacława Czerwińskiego, (także wybitnego pilota), Antoniego Kocjana, Michała Blachera, już w wieku dojrzałym: zdobywcę Medalu Lilienthala — Tadeusza Góry, wybitnych rekordzistów — Wandy Modlibowskiej (w 1937 r. dokonała w Bezmiechowej na „Komarze” lotu trwającego 24 godziny i 14 minut, co było absolutnym rekordem światowym!), Marii Younga-Mikulskiej... Dowiadujemy się o ich późniejszych, wojennych i powojennych losach, przygodach, perypetiach. Ich, i wielu innych, uczniów i instruktorów, którzy kiedyś, złączeni wspólną pasją latańia bezsilnikowego, pociągali w dzikie, odległe Bieszczady...

Miejmy nadzieję, że za tą książką przyjdą następne.

M. D

Tadeusz Chwałczyk: Bieszczadzkie szybowiska, KAW Rzeszów 1982.

POCZTA LITERACKA

Krzysztof W. Lubin. Umie Pan obserwować to, co dookoła i uchwycić następujące się z tego skojarzenia. Zapis jest jednak nerwowy, bezładny. Wbrew pozorom współczesna poezja wymaga także wewnętrznego ładunku, jeśli ma się stać źródłem uczuciowej i intelektualnej komunikacji. Niektóre utwory robią wrażenie małych próz mimo graficznego ich układu. Musi Pan się zdecydować, forma wypowiedzi należy, jak wszystko zresztą w twórczości, jedynie do autora.

Katarzyna B. Bgłzyce. Ma Pani rację, że wcześniejsze, niemal dziecięce, utwory są słabsze. Są jednak, jakby bardziej szczerze i w tym tkwi ich wartość. W najnowszych widać już autocenzurę bardzo dojrzałą, pełnoletniej damy. Z tej grupy najlepszym wierszem wydaje mi się „Możliwość”.

Udręczenie Pani tym, że jeden człowiek może być wrażliwy na sio, a drugi nie zwraca na to najmniejszej uwagi! rokuje nadzieję na wzbogacenie Pani wierszy o treść społeczną, zaangażowaną. A mocowanie się ze słowem, o którym Pani wspomina? Jakże wielu jest pisarzy, którzy długo siedzą nad pustą kartką papieru i z nich drze zapisane strony i zaczyna od nowa! Czy będzie teraz Pani raźniej, gdy pojmie Pani, że nie jest w tym osamotniona! Ten opór słowa może być drogą do właściwego jego spożytkowania. Niech się Pani tym nie zamartwia.

Małgorzata Z. Nieledeu. Z zamojską grupą literacką niech Pani kontaktuje się nadal, ale proszę nie przyjmować wszystkiego, co tamci koledy w warsztatach dyskusyjnych przekazują. I on mają własne kłopoty, chociaż niektórzy z nich przeszli już próbie druku. Prawda jest taka, że ze znalezieniem formy poetyckiej wypowiedzi musi się Pani zmagać sama.

A Rodzice! Niech Pani stara się ich przekonać, że to poeziowanie ma sens, pozwala Pani uwzewnętrznic uczucia i myśli, porozmawiać z samą sobą, a z pewnością Panią, nie jest to wcale tak mało. Cierpliwości! Dawno już powiedziano: trudno być prorokiem we własnym kraju.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Krzysztof Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boćka, Mirosław Demecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Fajek, Waldemar Piasecki, Waldemar Szczygiel (kierownik Redakcji technicznej) — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłosa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14–18. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 1, tel. 131-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 6. PŁ ISSN 017-7160 Np. Inz. 0001. Adres redakcji: 20-200 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/A.

Telefony: sekretariat redakcji naczelnej 131-63, sekretarz redakcji 131-63, dział publicystyki i literacki 131-60.

Korrespondencje prosimy kierować pod adresem: 20-212 Lublin 2, skrytka pocztowa 231 pocztowo i obywatelsko — pod adresem redakcji.

Kam. 1409, 9.IX.1982 r. R-4.

